Lwów, 20. Sierpnia 1893.

MYŚL

DWUTYGODNIK

LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY, ILUSTROWANY

Nr. 11 i 12. | Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Podlewskiego l. 4.** | Rok III.

TREŚĆ: Cholera i odżywianie się, przez S. B. — Początki polskiego mesyanizmu, przez Aleksandra Czechowskiego. — Nemezys, nowela przez Stan. Graybnera. — Budowniczy Solness, przez W. Bugla. — Prawo kobiety, przez Irmę Troll-Borostyani. — Czy warto? (studyum). — Maciej Flisak, wiersz Or-Ota. — Stulecie Krynicy, przez Wł. Bełzę. — Wystawa powszechna w roku 1900, przez W. G. — W balonie, nowela Guy de Maupassanta. — Listki polityczno-społeczne. — Kronika. — Inseraty. — W dodatku: »Doktór Paskal«, romans Emila Zoli.

CHOLERA I ODŻYWIANIE SIĘ.

W jednem z pism niemieckich ukazał się niedawno artykuł Dra. K. I. Beck'a pod tytułem »Cholera und Volksernahrung« (Cholera i żywienie się ludności), zasługujący ze wszech miar na zaznajomienie z jego treścią szerszego ogółu czytelników.

Oto w skróceniu treść pracy Beck'a.

Prof. Dr. Emerich i prof. dr. Iiro Tsuboi, niestrudzeni badacze na polu hygieny, zrobili nowe, ważne dla hygieny odkrycie, które będzie mieć niemałe znaczenie w gospodarstwie ludowem.

Badacze ci przez liczne i systematyczne dochodzenia i doświadczenia doszli do niezłomnego przekonania, iż wypadki choroby na cholerę są wynikiem tak zwanego azotowego otrucia (Nitritvergiftung), spowodowanego przez bakcylusy choleryczne.

Bakcyllusy choleryczne posiadają własność z azotanów (sole kw. azotowego, jak np. saletra) i w małej ilości również z węglanu amonowego wywiązywać wolny kwas azotowy. Inne bakterye, znajdujące się zwykle w kiszkach ludzkich, posiadają tę samą własność, lecz w znacznie mniejszym stopniu (w stosunku 1 : 4000) i dla tego nie wywołują żadnej choroby.

Ponieważ wywiązywanie kwasu azotowego jest procesem życiowym bakcylusa cholerycznego, więc ilość jego w kiszkach znajduje się w stosunku prostym do liczby żyjących bakcyllusów, wprowadzonych do organizmu i powstałych przez rozmnażanie się.

Drugą funkcyą życiową bakcyllusa jest wywiązywanie kwasu mlekowego z węglowodanów, przez co alkalicznie reagująca zawartość kiszek zostaje zneutralizowaną i nie może już przeciwdziałać tworzeniu się wolnego kwasu azotowego, co miałoby miejsce, gdyby kwas mlekowy nie powstawał.

Azotany dostają się do kiszek z pożywienia i przeważnie z wody do picia. Woda studzienna do picia wszędzie zawiera azotany i często w dość znacznych ilościach.

W jednym litrze wody studziennej została wykryta ilość kwasu azotowego jako maximum:

W Bazylei 400 miligr., Berlin—358, Bern—652, Dorpat—816, Hamburg—387, Karlsruhe—214, Lipsk—437, Medyolan—420.

Prócz tego woda studzienna zawiera zwykle ślady kwasu azotowego i amoniaku. Wody źródlane natomiast nie zawierają zwykle zupełnie kwasu azotowego lub bardzo mało.

Obecność kwasu azotowego w wodzie do picia jest faktem już dawno znanym i uważanym za niezdrowe zanieczyszczenie, spowodowane gnijącemi pozostałościami materyi organicznej, ale nową zupełnie rzeczą jest twierdzenie, że azotany same służą do powstania trucizny, która w organizmie wywołuje objawy cholery.

Drugiem źródłem, które dostarcza obficie organizmowi azotanów, są roślinne środki pożywienia i w pierwszym rzędzie rzepniaki (Kürben), także rzodkiew, następnie sałata i wszystkie zielone jarzyny, w mniejszym stopniu zboże i kartofle.

Ponieważ we wszystkich wspomnianych środkach pożywienia są obok azotanów również i węglowodany, niezbędne do tworzenia kwasu mlekowego, stąd więc staje się jasnem, że spożywanie tych już tylko roślin daje cholerycznemu bakcyllusowi możność tworzenia w kiszkach wolnego kwasu azotowego, gdy sama tylko woda studzienna do picia wymaga jeszcze węglowodanów, aby przedstawiać takie same szanse otrucia.

Dalej jest łatwo zrozumiałem, iż człowiek, mając w organizmie bakcyllusy choleryczne, może jednak nie chorować na cholerę, jeśli używa pokarmu, nie zawierającego węglodanów, jakim jest np. pokarm mięsny, nawet w tym wypadku, jeśli pił wodę zawierającą azotany.

Biedniejsza ludność miast i wsi jest skazaną szczególniej, jeśli nie wyłącznie, na odżywianie się za pomocą pokarmów roślinnych, a odżywianie się, jak widzimy, gra główną rolę śród czynników, uspasabiających do cholery; przy najenergiczniejszych nawet środkach zrywania komunikacyi z miejscowościami, gdzie grasuje cholera, niemożliwą jest rzeczą uchronić się od zawleczenia bakteryi cholerycznych; główne więc usiłowania winny być skierowane na to, by bakcyllusy choleryczne zrobić dla organizmu nieszkodliwymi, a najlepszym i najnaturalniejszym orężem w tej walce i najpewniejszym środkiem jest obfite mięsne odżywianie się, które, można powiedzieć, obezwładnia cholerę.

Jaką doniosłość posiadają powyższe twierdzenia przy leczeniu cholery, łatwo każdy zrozumie bez dalszych wyjaśnień; w danym wypadku praktyka uprzedziła naukę; już dawno podczas epidemii lekarze zabraniali używania sałaty, jarzyn, ale dopiero teraz to wzbranianie otrzymało naukową i zrozumiałą podstawę.

Najważniejszymi są jednak skutki tych naukowych odkryć dla działalności komisyj sanitarnych. Dostarczenie dobrej, wolnej od azotanów wody do picia staje się dzisiaj więcej naglącą potrzebą, niż dotąd, natomiast traci znaczenie projekt filtrowania wody, gdyż woda nie jest jedynym środkiem przenoszenia bakcyllusów cholerycznych. Chociaż będzie ta droga przerwaną, to pozostaje sto innych dróg, któremi bakcyllusy mogą przedostać się do kiszek.

Ażeby jednak z całą pewnością przeciwdziałać zaszczepieniu cholery — do wolnej od azotanów wody do picia trzeba jeszcze dołączyć wolny od azotanów pokarm. W tym właśnie leży wielka gospodarcza doniosłość tego odkrycia, gdyż wszelkie koszta w walce z cholerą trzeba obrócić na dostarczenie wolnej od azotanów wody do picia i obfitego mięsnego pokarmu dla ludności w miejscowościach, dotkniętych epidemią, zamiast używania ich na kosztowne środki dezynfekcyi, które nigdy nie zdołają powstrzymać całkowicie szerzenia się bakcyllusów.

W zamkniętych pojedynczych miejscowościach środki te bardzo łatwo dają się zastosować i miejscowe epidemie, jak w roku 1866 w Würzburgu, w 1883 w Nietleben, a w roku 1892 u nas i w Hamburgu, łatwo mogą być zagłuszone przy ich powstaniu.

Ale nawet i dla ogólnej walki z cholerą odkrywają się teraz nowe widoki powodzenia. Najpierw badanie wody do picia co do liczby zawartych bakcyllusów napotykało zawsze na pewne trudności, wskutek specyalnych metod doświadczalnych, gdy dowieść obecność kwasu azotowego w wodzie jest rzeczą bardzo łatwą i prędką do wykonania. Dalej znika konieczność zamykania studzien i wodociągów, gdyż podczas epidemii woda, zawierająca bacyllusy, a nawet azotany, może być bez żadnej szkody używaną do mycia i innych celów; jedynem wymaganiem, jakie powinno być stawiane publiczności podczas epidemii, jest — wstrzymywanie się od picia wody, zawierającej azotany.

Podobnie rzecz się ma z pokarmami, zawierającymi azotany. Gdy zostanie ogłoszoną lista szkodliwych pokarmów i sprzedaż ich będzie wzbronioną, to strach przed cholerą dokona reszty i podczas epidemii pokarmy te przestaną być spożywane w rodzinach biednych i bogatych.

Nie od rzeczy będzie tutaj wspomnieć, że za pomocą właściwej kultury można wychować te same gatunki roślin tak, żeby więcej lub mniej obfitowały w związki azotowe. Znaną jest rzeczą, iż przy większem nawożeniu otrzymujemy kartofle i jęczmień, zawierające azotany, gdy zwykle nie posiadają one wcale azotanów lub bardzo mało.

Istnieje tak dużo biednych w azotany, lub nawet zupełnie nie zawierających ich roślinnych środków pożywienia (np. owoce), iż czasowe wyłączenie z pożywienia roślin, obfitych w azoty, nie dałoby się silnie odczuć.

Najtrudniejszą rzeczą wydaje się na pierwszy rzut oka zaopatrzenię całej ludności w mięsny obfity pokarm podczas cholery, ze względu na koszta, jakie to pociągnąć musi.

Lecz w porównaniu z ogromnymi kosztami, jakich wymaga dezynfekcya, uwzględniwszy następnie straty handlowe, jakie wynikają z przerwania komunikacyi, czasowe zaopatrzenie ludności, której grozi niebezpieczeństwo cholery, w tani i obfity pokarm mięsny kosztem ogółu wydaje się nakładem produkcyjnym, nakładem, który oprócz tego ożywia handel i przemysł, a uczucie rozpaczy i ciągłej obawy zamienia uczuciem pewności siebie i zadowolenia.

W przybliżeniu nawet trudno obliczyć, jaką stratę kapitału i siły roboczej pociąga za sobą 18.000 wypadków choroby i 8.000 wypadków śmierci, jak-to miało miejsce w roku zeszłym w Hamburgu. Jeśli uwzględnimy przytem koszta dezynfekcyi, transportu chorych i leczenia, to z pewnością otrzymamy sumę, która aż nadto byłaby wystarczająca dla zaopatrzenia całej ludności tego miasta w tani i obfity pokarm mięsny; dodać do tego jeszcze należy te milionowe straty, na które był narażony handel Hamburga, wskutek przerwania środków komunikacyi.

Słuszne i uzasadnione żądanie asanacyi na koszt międzynarodowy tych niezdrowych miejsc w Indyach, które zawsze dają początek cholerze, nie doszło do skutku; Anglia w pierwszej linii nie chciała się zdobyć na ten krok humanitarny. Lecz dzisiaj poznaliśmy środki, które każde państwo może zaprowadzić u siebie, by ochronić ludność od niebezpieczeństwa cholery. Naturalnie, dodaje autor, póki w budżecie państw europejskich największą rubrykę stanowią wydatki na uzbrojenie armii, to zachodzi obawa, czy będą uchwalone środki na ratowanie życia ludzkiego przez zaopatrzenie ludności w czystą wodę do picia i obfity mięsny pokarm.

Pierwszą na razie rzeczą wszystkich państw europejskich winna być zmiana ustawy sanitarnej w duchu nowych odkryć naukowych. S. B.

POCZĄTKI POLSKIEGO MESYANIZMU.*)

Rozumiemy pod mesyanizmem zwykle ideę panującą w Polsce od listopadowego powstania aż mniej więcej do 50-go roku, która wskazując na analogię w losach Chrystusa a Polski, przypisuje polskiemu narodowi podobne posłannictwo, jakie wypełnił Chrystus, i przepowiada, że, odzyskując własną niezawisłość polityczną, przywróci wolność ludom Europy i nową stworzy erę w historyi świata.

Myśl ta, w oznaczonym czasie bardzo rozpowszechniona, zachowała sobie do dziś dnia pewną liczbę stronników; ale nie mając prawdziwej, to jest historycznie uzasadnionej podstawy, straciła wartość dla ogółu i znaczenie, jakie miała dawniej. Wydaje się ona dzisiaj dziwną i poniekąd zarozumiałą, bo nie widzimy, dlaczegoby Polska właśnie miała zostać wybraną do zaprowadzenia reform w całej Europie, skądby miała nadać innym ludom wolność, której sama nie posiada; ale w pierwszej połowie tego stulecia zapatrywano się na tę sprawę całkiem inaczej, i niesłusznem byłoby mierzyć miarą naszych czasów ideę, wypływającą z nieubłaganą koniecznością z charakteru narodu, który nie zerwawszy jeszcze zupełnie z supranaturalistycznymi poglądami średnich wieków, znalazł się naraz bez ojczyzny, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią.

Łatwo zrozumieć, że myśl tak fantastyczna musiała stracić w naszych trzeźwych czasach prawo bytu i pójść w zapomnienie; ale dziwna, że popadła zarazem w pogardę i stała się zupełnie niezrozumiałą dla synów tych, którzy ją wyznawali. Zdarza się spotykać ludzi — nawet wykształconych — którzy identyfikują ją z towiańszczyzną, a wielu uważa ją za jakieś dzikie, z powietrza pochwycone absurdum, nad którem nie warto sobie łamać głowy.

Jako wyraz nastroju umysłowego w społeczeństwie polskiem w trzecim i czwartym dziesiątku stulecia nie przedstawia mesyanizm, mimo mistycyzmu, który go otacza, nic tajemniczego lub trudnego do zrozumienia; nie trzeba go tylko uważać za myśl, występującą sporadycznie w narodzie, nadającą pewnej liczbie jednostek charakter sekty niejako, lecz za bezwiedne uczucie, które przejmowało całe społeczeństwo. Stanowił on rozpowszechnione w szerokich kołach mniemanie, nad którem się nie zastanawiano, którego prawdziwości nie dochodzono, jak nie myślano nigdy nad tem, dlaczego kometa przynosi wojnę lub klęskę pomoru. Polegał on na samej tylko wierze, i to nam tłomaczy, dlaczego tylko nawiasowo znajdował wyraz w literaturze, odpowiadał ogólnym życzeniom i nadziejom i stał się dlatego popularnym i prawie uniwersalnym. To też przyjmowano mesyaniczne utwory polskich poetów i filozofów po części z uznaniem, po części w milczeniu, nie wdawając się wiele w krytykę idei, która się w nich przebija; przyjmowano je, jak się przyjmuje tylko uznane przez wszystkich prawdy, których nie potrzeba dowodzić.

Stosunki zmieniły się zupełnie, gdy zjawił się kosmopolityczno-etyczny mesyanizm Towiańskiego, przyciągając najwybitniejsze osobistości polskiej emigracyi, gdy Mickiewicz, najgorliwszy apostoł nowej nauki, związał ją w swych odczytach z ideą narodową i filozofią Wrońskiego, i spostrzeżono, że nowa ewangielia nie zgadzała się z nauką kościoła.

Kładąc szczególnie nacisk na to, co nowem było w nauce Mickiewicza, starano się ją wytłomaczyć, ale wychodząc przytem z jednostronnego zupełnie stanowiska i uważając ją za rzecz całkiem nową, zagmatwywano tylko coraz więcej sprawę. Było to jednakże nieuniknionem. Mesyanizm narodowy powstańców i emigrantów naszych nie przedstawiał się jako teorya oparta na rozumowaniu, jako filozoficzna abstrakcya, zastosowana do polityki lub historyi, lecz był żywą wiarą, bezpośredniem przekonaniem, które złączone ściśle z religią, stanowiło razem z ogólnymi poglądami na świat i na życie jedną harmonijną całość. Póki więc Mickiewicz w swych prelekcyach o literaturze słowiańskiej przemawiał w myśl narodowej idei, i wykazywał ją w polskiej historyi i literaturze, słuchano go chętnie i z zajęciem, bo znajdowano w słowach jego to, co wszyscy odczuwali, nie mogąc sobie z tego zdać sprawy; gdy atoli stał się uczniem Towiańskiego i zastósowawszy jego abstrakcyjną teoryę do swych własnych zapatrywań, zaczął ją wykładać przed publicznością, odsunięto się od niego, nie dla tego, że głosił mesyanizm, lecz że t e n mesyanizm nie odpowiadał zapatrywaniom słuchaczy. Potępiono całą jego teoryą i nazwano ją mesyanizmem, nie myśląc wcale o tem, że rozpowszechniona, a bezimienna wonczas jeszcze myśl narodowa była także mesyanizmem, który trzeba było dokładnie określić, jeżeli nie miało zajść później nieporozumienie.

Ale ówczesnej krytyce nie chodziło i nie mogło chodzić o to, aby wykazać jasno istotę przyjętego ogólnie mniemania, które zlało się tak silnie z ogólnemi zapatrywaniami narodu, że wydało się zupełnie naturalnem i niewątpliwem, jak wobec herezyi nie starano się nigdy tłomaczyć istoty i powstania uznanej przez wszystkich religii, lecz zwracano się tylko przeciw temu, co nie zgadzało się z nauką kościoła. Uważając też towiańszczyznę za podwójną herezyą w stosunku do katolicyzmu i w stosunku do przewodniej myśli narodowej, nie omawiano tego, w co każdy wierzył bezwiednie, lecz zwrócono się w oburzeniu na nowatora, który kaził starą ojców wiarę i fałszował myśl, którą żywili się wszyscy jak chlebem powszednim, tylko przeciw heretycznemu pierwiastkowi w nauce Mickiewicza. To też starał się Witwicki tylko wykazać w swej »Towiańszczyźnie« sprzeczność nowej ewangelii z religią katolicką, Gołembiowski dowodzi tylko, że Mickiewicz zeszedł z drogi narodowej i stał się zdrajcą ojczyzny, a Pszonka ogranicza się na złośliwem przedstawieniu pomysłu i działalności Towiańskiego, krytykuje mesyaniczne t e o r y e Wrońskiego i innych, ale nie dotyka wcale pierwotnego, ogólnie rozpowszechnionego, a nie ujętego w żaden system narodowego mesyanizmu.

Jednostronne takie omawianie sprawy złączonej ściśle z ideą narodową sprawiło, że późniejsze pokolenie, które nieprzejęte ideałami ojców, patrzało z góry na pierwszą połowę tego stulecia jako na czasy minione, nie umiało rozwikłać dwóch myśli ze sobą splątanych i oddzielić mesyanizmu od towiańszczyzny. Ci zaś, którzy pamiętali jeszcze dawne czasy, nie mogli ich oświecić, bo znali tylko jeden mesyanizm: teoryą Towiańskiego, a zapatrując się na świat przez pryzmat myśli narodowej, nietylko nie widzieli w tem nic dziwnego, ale nie pojmowali nawet, jak można się zapatrywać inaczej; i dlatego też omawia n. p. Wincenty Pol w »Pamiętniku literatury polskiej XIX wieku«. wszelkie możliwe teorye filozoficzne, historyczne i mistyczne, które jakikolwiek wpływ wywarły na życie narodowe, ale nie wspomina ani jednem słowem o t y m mesyanizmie, który sam wyznawał i wypowiedział niegdyś dość jasno w «Pieśniach Janusza«.

Czesław Pieniążek był bodaj pierwszym, który niezadowalniając się ogólnymi frazesami, zabrał się do gruntownego studyum nad istotą towiańszczyzny i wykazał zasadniczą różnicę pomiędzy nią a mesyanizmem. (»Mesyanizm i Towiańszczyzna«, Lwów, 1877). Praca jego i ogłoszenie korespondencyi Towiańskiego przyczyniły się znacznie do

---

*) Studyum p. Al. Czechowskiego, którego druk właśnie rozpoczynamy, stanowi część wyczerpującej pracy o mesyanizmie, niejako wstęp do historyi mesyanizmu w Polsce. *(Przyp. Red).*

wyjaśnienia zawikłanej sprawy i pobudziły do nowych i sumiennych badań nad towiańszczyzną i udziałem w niej Mickiewicza.

Wobec tych badań zajął mesyanizm narodowy drugorzędne stanowisko i poszedł prawie w niepamięć. Spotykamy się wprawdzie dość często ze wzmianką o nim, tu i owdzie starano się także wykazać wpływ jego na literaturę i historyą, ale nikomu bodaj od czasów Mickiewicza nie przyszło na myśl zbadać całą sprawę ze stanowiska historycznego, gdzie jedynie zadowalniający można osięgnąć rezultat, szukać początku idei w dziejach narodu i krok w krok za nią postępować aż do chwili, gdy wystąpiła jasno w literaturze, aby zlać się nareszcie w głowie Mickiewicza z obcą jej zupełnie nauką Towiańskiego.

Początek idei mesyanicznej oznaczamy zwykle rokiem listopadowego powstania. Nie da się też zaprzeczyć, że w tym roku właśnie zaczyna ona występować wyraźnie w literaturze; ale z drugiej strony niepodobna sobie w takim razie wytłomaczyć, skąd wzięła się tak nagle, czy z francuskiego mistycyzmu, lub z filozofii Schellinga, czy też może powstała na polskiej ziemi i wypłynęła z duszy samego narodu, czemu nie znalazł się nikt, ktoby jej zaprzeczył, i w jaki sposób szczególnie zdołała zdobyć sobie w tak krótkim czasie serca całego społeczeństwa. Wszystkie te okoliczności, niezrozumiałe zupełnie, jeżeli oznaczymy czas powstania mesyanizmu rokiem 31-szym, przemawiają za tem, że początków jego należy szukać daleko wcześniej.

W czasach ogólnego zamieszania i przewrotu społecznego w narodzie zwykły zjawiać się zagadkowe osobistości i fakta, które niewyjaśnione przez współczesnych pozostają w pamięci ludu i wyrastają z czasem na zagadki historyczne. Świat naukowy nie umie zdać sobie z nich sprawy, nie znajdując dostatecznego materyału źródłowego, a nie chcąc opierać się na niejasnych podaniach, gmin zaś powtarza bezmyślnie stare baśni nie wątpiąc wcale o prawdziwości narodowej tradycyi.

Nie przypisujemy zwykle legendom takim, przywiązanym do poszczególnych miejsc lub osób, wielkiej historycznej wartości, bo mało znaczne tylko zawierają zdarzenia i, przechodząc z ust do ust, tracą z czasem na prawdziwości swej pierwotnej. Nie należy ich mimo to zaniedbywać, bo rzucają światło na ducha czasu, którego są pamiątką, są niejako zwierciadłem, w którem odbiły się dążności i idee panujące w społeczeństwie i mogą jako takie służyć nam za klucz do zrozumienia przeszłości. Szczególnie tam, gdzie chodzi o wyjaśnienie niezrozumiałych skądinąd objawów wewnętrznego życia narodu, gdzie chodzi o idee, których początków i powodów nie tłomaczą nam dostatecznie zapisane historycznie fakta, jest podanie ludowe często drogowskazem, za którego pomocą możemy dojść do zrozumienia ciemnej sprawy.

Daje się to mianowicie zastosować do mesyanizmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aleksander Czechowski.

NEMEZYS.

Nowela.

(Dokończenie).

Niby szerszeń krąży i brzęczy, nad świeżo rozkwitłej lilii kielichem. A jak się cieszy, że bezkarnie spijać będzie wonne słodycze. Więc nie dziwna, przeraził się kwiat piękny, co w swej bezsilności, padnie wstrętnego pasorzyta ofiarą.

Bronić się? opierać? Niedorzeczność? Tylko co cały kościół słyszał jej słowa przysięgi: »aiści nie opuszczę aż do śmierci«. Więc opuścić nie można.

To też jak samobójca, na widok krwi, broczącej z przestrzelonej piersi, jednak woła i błaga ratunku, tak teraz Jadwiga, patrząc w straszne, nieruchome oko, czując tuż oddech Brunona, chciałaby się jeszcze ocalić, ale — zapóźno!

— Jadwigo, Jadwisiu moja, czy ty gniewasz się na mnie? — i Bruno znowu chciał objąć żonę.

Zasłoniła się ręką.

— Cóż to znaczy? — z niecierpliwością w głosie dopominał się praw swoich — sądziłbym gotów, że jesteś... niegrzeczna. Dlaczego odpychasz męża?

— Panie, panie — błagalnym głosem zawołała nareszcie — zostaw mi jeszcze czas jakiś, pozwól oswoić się z nowem położeniem...

— Ależ... nie pojmuję...

— O tak, pan jesteś dobry, szlachetny, prawda? — wmawiała w niego — rozumiesz, że w tej chwili... znamy się tak niedawno...

— Właśnie też bliżej poznać się trzeba — z nieubłaganą loiką tłomaczył — tylko pierwszy krok trudny, no, nie lękaj się serce moje, wszak wiesz, widzisz, ile cię kocham.

Po całem ciele strwożonej kobiety, jak błyskawice przed burzą, przebiegały drgawki nerwowe.

Ale Bruno tego nie widział, a korzystając, że żona nie droży się, ufarbowaną głowę do jej głowy pochylił i na ustach pocałunek wycisnął, szczęśliwy, że pierwsze lody przełamał.

Zrazu ciche łkanie, wnet głośny, spazmatyczny płacz rozległ się po ciemnym już prawie salonie.

I dziwna rzecz, Bruno lubował się tą sceną. Przywykły do obcowania z kobietami, co wdzięki swe wystawiać radę na podziw, co pocałunek przy pierwszem zaraz dają spotkaniu, tu doświadczał innych, odrębnych wrażeń. W nieskończonym szeregu jego znajomości kobiecych, jedna tylko Krystyna, kiedyś, dawno już, płakała w podobnej chwili, a tamte wszystkie, z lubieżnym uśmiechem na ustach różowych, z kielichem szampana i piosnką dwuznaczną... a! miał ich już dosyć. Za pieniądze, czułe słowa, za pieniądze, pieszczoty rozkoszne, za pieniądze wszystko, prócz niewinności i wstydu. A tu w te skarby, jak Krezus w złoto, opływać będzie. I Bruno napawał się płaczem młodej kobiety, mogącej mu wietrzejący już urok życia przywrócić, nową epokę dla spróchniałego serca rozpocząć.

Jadwiga łkając ciągle, wstała i szybko wyszła do sąsiedniej sypialni.

— To dobrze — pomyślał — i my się tam znajdziemy — poczem poszedł do swego *sanctuarium* i na zaufanego sługę zadzwonił.

Ona w tej chwili na kolana padła i załzawione oczy wzniosła do obrazka, oświetlonego lampką oliwną. Nie mąż, troskliwy o wygodę i wykwint domu, zawiesił go nad klęcznikiem. To pamiątka Jadwigi, jej powiernik jedyny, co tyle już tajemnic, próśb i podziękowań naprzemian, wysłuchał z ust jeszcze dziecka, potem podlotka, w końcu dojrzewającej kobiety.

Im cięższe strapienie, tem szczerszą, gorętszą bywa modlitwa.

Matko Boża — szeptała Jadwiga — opiekunko moja, dodaj mi siły i odwagi, bym spełnić mogła ofiarę z zaparciem i pokorą...

W Boskiej instancyi nie przetrzymują skarg sprawiedliwych. Oto Jadwiga, powstawszy z klęcznika i rzuciwszy załzawionem okiem po wspaniałej sypialni, dostrzega na toalecie jakiś przedmiot, w promieniu lampki oliwnej niby stubarwna iskra błyszczący. Zbliża się i bezmyślnie rękę wyciąga. To pierścionek, ale — czy podobna! jej własny pierścionek, z którym nie rozłącza się nigdy, od tylu lat na złotym łańcuszku, zawsze nosi na piersi. Miałażby go zgubić? Zdziwiona, z zagorsu łańcuszek dobywa i — rzecz dziwna — pierścionek na miejscu znajduje. Teraz, ze wzruszenia drżąca, do lampki spieszy i przy świetle klejnocik ogląda, napis wewnątrz czyta. Niema wątpliwości, ten sam!

— Jego, jego muszę zapytać — woła gorączkowo sama do siebie i ku wyjściu biegnie.

Spotyka ją mąż.

— Zostań, zostań kochanko — ujmując Bruno jej ramię, prosi głosem syczącym.

— Co to znaczy? — woła Jadwiga pokazując pierścionek.

— Pani zazdrosna, to dobry znak — pomyślał Bruno.

— Zkąd on pochodzi?

— Ależ moja droga, to stare rzeczy, zabytki chwil kawalerskich.

— Ale zkąd pochodzi? — natarczywie wołała Jadwiga — ja muszę, muszę to wiedzieć!

— Czyż ci tak na wymienieniu osoby zależy? Dziś ciebie tylko kocham, a tamte, dawne miłostki... — i ręce kościste wyciągnął do żony.

— Panie, przez litość, nie trzymaj mnie w tem podejrzeniu...

— Jakiem podejrzeniu? najdroższa Jadwigo...

— A więc powiedz, błagam cię, kiedyś dawno, czy... znałeś... Krystynę?

Drgnął Bruno, niby pod przykrej myśli wrażeniem.

— Krystynę? zkąd wiesz o niej? czemu pytasz o nią?

— Panie — zamierającym na ustach głosem szeptała kobieta — ten pierścionek... czy od niej dostałeś?

— Na Boga, co znaczy ten przestrach, to wzruszenie twoje? w istocie, dawno już temu, przed laty, znałem Krystynę i ten pierścionek...

— Masz od niej? O wielki Boże! a więc pan i ten znać musisz — tu Jadwiga swój z za gorsu podała mężowi konwulsyjnym ruchem, aż się zerwał misterny łańcuszek..

Bruno skwapliwie ujął w rękę pierścionek, a obejrzawszy, napis wewnątrz odczytał

— Zkąd masz go Jadwigo? może... znalazłaś?

— To jedyna po mojej drogiej matce pamiątka...

— Matce? — i chwiejąc się na nogach, głowę ujął oburącz.

— A więc nie ma wątpliwości! — zawołała Jadwiga i padła na otomanę.

— To klątwa jej — syknął Bruno, plecami o ścianę się oparł i głowę zwiesił.

* * *

Hrabina Zabrzeska, Jadwiga, Roman i Zygmunt Klonowscy, w tej chwili zebrali się w tym samym salonie, w którym niedawno przybrana matka udzielała adoptowanej córce radosnej wiadomości o zamiarach pana Brunona.

Hrabia poważnie kroczy po miękkim dywanie. Zygmunt ukradkiem spogląda na milczącą Jadwigę, a stary Roman niecierpliwie rzuca okiem ku drzwiom, jak gdyby spodziewał się w nich kogoś zobaczyć.

Uroczysta, czy przykra to chwila dla obecnych, bo nikt nie śmie przemówić. Ale wnet usłyszano turkot powozu przed domem. Roman wstał żywo i podszedł do okna.

— Przyjechał — rzekł.

Jadwiga drgnęła, Zygmunt zbladł, pani Zabrzeska zacisnęła wargi. I znowu cisza w salonie. Roman wyprostowany, poważny, stanął opodal drzwi, oczekując gościa.

Teraz osłupieli wszyscy na widok wchodzącego człowieka. Zgrzybiały starzec, o zapadłych, żółtych policzkach, zwartych z sobą szczękach bezzębnych, lewe oko zasłania mu czarny bandaż, przewiązany w poprzek łysej głowy, po bokach której spadają rzadkie kosmyki białych włosów. W tej zgarbionej, chwiejącej się na drżących nogach postaci, trudno byłoby domyśleć się pana Brunona, gdyby nie syczący, właściwy mu głos, którym wszedłszy przemówił.

— Nie poznajecie mnie państwo?

Hrabina odwróciła bezwiednie głowę.

— W istocie zmieniłeś się bracie — pierwszy przemówił Roman.

— Ja tylko swoją skórę włożyłem i w niej już zostanę. Ale, nie miejcie wstrętu i nie potępiajcie mnie. Cokolwiek było — wszyscy na tem zyskacie.

Jadwiga wzruszona, zbliżyła się pierwsza.

— Ojcze mój, któż ciebie potępia? Przecież Bóg sam osłodził gorycz swego wyroku, bo dał ci córkę na pociechę starości; w samej karze, winy twoje odpuścił.

Za Jadwigą, hrabina podała przybyłemu rękę, poczem siadła, wskazując miejsce przy sobie.

— W istocie Brunonie — mówił Roman — przy dobrej woli z twej strony, wszystko to nam na dobre wyjść może.

— Tak jest — zabrał głos tenże — kiedyś, przed laty dwudziestu, nieokiełzany w lekkomyślności, wyrządziłem młodej dziewczynie najcięższą krzywdę, jaką wyrządzić można: uwiodłem ją.

Jadwiga zakryła oczy.

— Sądziłem, że hojnym datkiem zdołam jej zapłacić złamane życie i zapewnić byt dziecięciu, co na świat przyszło, jako owoc mojej zabawki. Ale omyliłem się; odrzuciła pieniądze, żądając raczej dla naszej córki mego nazwiska. Ożenić się z nią nie chciałem i biedną, chorą, zostawiłem na pastwę losowi, a ona... przeklęła mnie na łożu śmiertelnem. Jadwigo córko moja, wiesz już że tą nieszczęśliwą była twoja matka! — Tu Bruno usiłował powstać, lecz siły odmówiły mu posłuszeństwa. Natomiast młoda kobieta zbliżyła się do ojca.

— Bóg ciężko moją zbrodnię ukarał — mówił dalej — tak, jak sobie na to zasłużyłem, ale widocznie chciał ciebie niewinną oszczędzić i tobie też pozwolił odkryć nieznaną nam wszystkim tajemnicę. To był cud, a w tym cudzie Jego łaska najwyższa. Jadwigo, po długich latach, pierwszy raz dopiero wczoraj schyliłem moje stare kości i modliłem się goraco, dziękowałem Bogu za nas oboje. Teraz z kolei do ciebie prośbę zanoszę, przebacz mi za matkę twoją, ty tylko jej klątwę zdołasz zdjąć ze mnie.

Niechże więc będą darowane wszelkie winy twoje, mój ojcze — zawołała Jadwiga wznosząc ręce — ja Boga o to proszę, a On mnie wysłucha.

— Amen — dorzucił Roman.

Jadwiga pochyliła się do drżących ramion Brunona.

— Małżeństwo nasze — mówił znów tenże po chwili — które wobec kościoła i świata nigdy małżeństwem nie było, z łatwością wkrótce rozwiązane zostanie. Jestem bogaty, ale nie wiele już potrzebować będę. Jadwigo, Zygmuncie, wiem, że się kochacie i tylko brak majątku dotychczas na przeszkodzie wam stawał.

Roman gestem pozwolił synowi zbliżyć się do krewnego.

— Ale i pani hrabinie należy się wdzięczność moja, bo ona przygarnęła, wychowała i za swoje uznała sierotę, o której ja zapomniałem. Zygmuncie, nie wątpię, że ojciec twój pozwoli ci na związek z moją córką, a wtedy, majątkiem twej żony tak rozporządzisz, ażeby jej przybrana matka nie miała żadnych, jak obecnie, materyalnych kłopotów.

— To w waszym interesie leżeć będzie — wtrąciła pani Zabrzeska — co po mnie zostanie, wszakże weźmie Jadwisia.

Młodzi stali rozpromienieni przy sobie. Bruno hrabiny rękę całował.

— Bracie mój — zbliżył się wreszcie i rzekł Roman — sądzę, że nowa epoka życia, którą od tej chwili zaczynasz, nie wzbudzi nigdy żalu za przeszłością u ciebie. Jakże się cieszę serdecznie, że się te wszystkie trudności rozwikłały tak pięknie. Cokolwiek było, puśćmy w niepamięć wspomnienia. *Si finis bonus...* — i ze szczerą, braterską miłością, Roman dłonie Brunona uścisnął.

I zniknął niepokój, rozjaśniły się twarze obecnych w salonie hrabiny Zabrzeskiej.

Stan. Graybner.

BUDOWNICZY SOLNESS.

Ponuro w tym ostatnim dramacie Ibsena i ciemno jak w grobie. Ze wszystkich zakątków utworu wypełzają, jak widma, cienie; na ścianach niby pajęczyna zawiesza się tajemniczość. Rzekłbyś, galera duchów przybiła tu do brzegu, a wszystkie duchy pochmurne, wszystkie niezadowolone.

Nigdy przedtem na utwór wielkiego Skandynawczyka nie padał tak gęsto zmrok, nie uścielały się warstwy ciemności. Już nie mówię o »Norze«, »Widmach« lub »Brandzie«. Bohaterzy miotali się tam jak ptaki o klatki, ale w przestworza ich wkradały się zawsze promienie, a przez szpary i okienka wpływały orzeźwiające prądy świeżego powietrza, lecz nawet w »Oblubienicy morza« i »Heddzie Gabler«, słonko od czasu do czasu rozdzierało chmurę i ciskało przez szczelinę kilka jasnych promieni. »Oblubienica morza« przypomina mi całą swą osnową »Edypa w Kolonos«, przez cały ciąg dramatu szaleją furye, przy końcu zaś milkną i na błękit wypływa słońce. A w »Budowniczym Solnessie« ciemno i groźnie od pierwszej sceny do ostatniej. »Ach to rozpaczliwe! Nigdy ani jednego promyka. Żeby choć jeden jedyny prześliznął się do wnętrza«.

I bez promyka, bez światła wiodą tan swój wyklęte duchy. Niema idei, niema myśli przewodniej, pochodnie nie płoną. Tylko psychopatya króluje w utworze, psychopatya, bo inaczej trudno nazwać to wywołanie szeregu umysłów zboczonych i rozchwianych.

Budowniczy Solness z samouka, chłopaka ubogiego i potrącanego, wybija się na rozgłośnego architektę, znanego w całej okolicy, cenionego szeroko i daleko. W początkach swej karyery poślubia Alinę i nieznany jeszcze, choć pełen snów o sławie osiedla się w starym jej domu rodzicielskim, na wzgórzu.

Żona powiła bliźnięta, życie płynie cicho i spokojnie, niby szemrzący wśród ziół leśnych strumyczek. Lecz raz w nocy wybucha ogień, staty dom pada pastwą płomieni i bydło ginie i zabytki po rodzicach Aliny. Młodą kobietę zdejmuje jakaś tęsknota i razem z przestrachem podczas pożaru i zaziębieniem obala ją na łoże boleści, objawia się gwałtowna febra mleczna. Karmi mimo to dzieci, lecz niezdrowy pokarm zatruwa je i ledwie trzy tygodnie minęły od czasu, jak ujrzały światło dzienne, gasną. A tak pięknie, tak szybko rosły...

Odtąd smutek wlewa się w serca małżonków, Alinę poczyna coraz wszechwładniej ogarniać melancholia, a Halward wygraża się pięścią niebu i przestaje budować kościoły.

Osobiście ów pożar przynosi mu pewną korzyść, na miejscu spalonych budynków może on wznieść szereg will, przy budowie ich rozwinąć i ujawnić swe potężne zdolności. Przepych stylu jego zdobywa mu bogatych kupców i czcicieli, powodzenie od dnia pożaru rośnie coraz bardziej.

Lecz dzieci nie przychodzą, żona siedzi wciąż smutna, trzy pokoje dziecinne w nowem mieszkaniu zieją chłodem i pustką. Mijają dnie, mijają lata i u obojga nieszczęśliwych małżonków rozwija się straszna nerwoza, nerwoza, podcinająca Alinę do korzeni, a Halwarda doprowadzająca czasami do szaleństwa.

Pełnego niegdyś sił młodzieńczych budowniczego ogarnia trwoga, obejmuje smutek. Jak gdyby chcąc ponure swe myśli spłoszyć obrazami cudzego szczęścia, buduje wyłącznie prawie pałace i wille, gdzie jak rój pszczółek ma brzęczeć dziatwa, gdzie będą rozbrzmiewać gwary młodzieży. I po każdej willi, po każdym pałacu niby strumień lodu oblewa jego serce, zdaje mu się, że ostatnie to już jego dzieło, że zabraknie mu wkrótce talentu, że zdolności jego wyschną jak roślina, którą żre bez litości skwar południa. Boi się, że obali go kiedyś młodzież, że z nowym proporcem w ręku podstąpi pod jego dom i w drzwi uderzy i zamek wykruszy...

Właśnie w mgłę tych obaw i smutków wprowadza nas akcya dramatu. Jak prawie wszędzie u Ibsena jest ona bardzo prostą i jak wszędzie, stanowi tylko wierzchołek

wzgórza, usypanego już przez przeszłe lata, przeszłe czasy. Jeszcze w okresie początkowania Solness budował w bliskiem miasteczku Lysanger kościół, po ukończeniu budowy zawieszał na wieżycy własnoręcznie wieniec. I kiedy w górze wysoko wiatr rozwiewał mu włosy, a w głowie się kręciło, w dole wywijała jedna z biało ubranych dziewcząt gwałtownie szarfą i wołała: »Niech żyje budowniczy Solness«!

Wieczorem, po zawieszeniu wieńca, budowniczy był proszony na wieczerzę do doktora Wangla, ojca rozentuzyazmowanej dziewczyny. Solness poznawszy ją, powiedział jej kilka grzecznych słówek, chcąc jej podchlebić, nazwał ją »królewną«. »Kiedy dorośniesz za lat dziesięć, przyjadę do ciebie i wezmę do Hiszpanii lub gdzieindziej i kupię ci królestwo«.

Po dziesięciu latach »królewna« zajeżdża do Solnessa. I to wcale nie przypadkowo, nie! umyślnie! Kiedy właśnie Solness spowiada się przed doktorem Herdalem z dziwnych swych obaw, puka ktoś do drzwi.

— »Młodzież«! — żartuje doktor.

Wchodzi Hilda, wita się z Herdalem, dawnym swym znajomym z gór i po oddaleniu się jego przystępuje do rzeczy. Żąda od Solnessa rezolutnie — królestwa.

Przyjechałam tu po królestwo. Minął już termin naznaczony przez pana.

Solness: Pani zabawna.

Hilda: Królestwo budowniczy! (puka w stół) królestwo tu na stół!

Zadawalnia się na razie propozycyą obejrzenia jego kościołów i will. Ale żąda, aby jej wybudował jeszcze parę wieżyc.

— Co to znaczy?

— Znaczy, że chcę wież wysokich, strzelających pod niebo, z chorągiewkami u szczytów.

— Dziwne te słowa, pani. Mówisz o tem, czego i ja sam jak najbardziej pragnąłbym.

Zaznacza się tu przewrót w duszy Solnessa. Hilda przez całe dwa akty opowiada budowniczemu, jak pięknie wyglądał, kiedy zawieszał wieniec, jak wspaniałym był, jak wzniosłym. I niby ogień ćmę nocną, egzaltowane te słowa wabią Solnessa ku sobie, oszołomiają go. Jak igła za magnesem obraca się on za Hildą w prawo i w lewo. Nie można nazwać miłością uczucia, łączącego go z tą obłąkaną istotą, jest to raczej czar magiczny, czar, który pociąga ptaszka do paszczy wpatrującego się weń grzechotnika. Nareszczcie nadchodzi dzień stanowczy: Solness ma odzyskać swą wielkość.

Oto głęboko w ogrodzie zbudował on dla siebie i żony nową willę, wkrótce ma się do niej przeprowadzić. Duże, stare drzewa zaglądają do samych jej okien, u boku podnosi się wieża i strzela wysoko w górę pod obłoki.

Powrót do wielkości ma stanowić zawieszenie na tej wieży wieńca. Miał to uczynić jeden z pomocników Solnessa, lecz ulegając namowom Hildy, wyręcza go sam budowniczy. Wie, że zawieszenie jest dla niego prawie niepodobieństwem. że na wyżynach dostaje zawrotu głowy, mimo to w postanowieniu swem trwa.

Zbierają się tłumy ludu, przyjaciołom budowniczego zamiera w piersiach oddech, gdy widzą, jak Solness wstępuje na rusztowanie. Hilda porywa chustkę i poczyna nią powiewać. Solness zdejmuje kapelusz, kłania się.

Poczyna się wdzierać. Naraz ręce mu mdleją, pochyla się. Z piersi tłumu strzela okrzyk. Z deskami i kawałami drzewa Solness spada z góry i rozbija o kamienie czaszkę.

Hilda (zwraca się do pomocnika Solnessowego Ragnera i mówi cicho) Już go dlaczegoś nie widzę w górze.

Ragner: Okropne to było. Więc on nie mógł biedak...

Hilda (z cichym, obłąkanym tryumfem): Ale dotarł aż do wierzchołka. Do wierzchołka. A ja słyszałam harfy tam w górze... (Wywija dalej szalem i krzyczy szalenie) Mój, mój budowniczy!

Chociaż tytuł swój utwór Ibsena zawdzięcza budowniczemu, jednak główną jego osobą jest Hilda. Jej wpływ wypełnia akt drugi i trzeci i końcowe sceny pierwszego. Kto zna »Oblubienicę morza«, przypomni ją sobie natychmiast.

Jest ona tam jeszcze podlotkiem, tu liczy lat dwadzieścia dwa.

Ibsen naśladując do pewnego stopnia Zolę, wprowadza czasami w swe dramaty osoby, przedstawione już poprzednio. Tak stało się i z Hildą, miała ona rozwinąć się w »Oblubienicy«. Lecz podobnie jak Zola w fatalnym swym cyklu, doznaje i Ibsen w kontynuowaniu losów swych osób niepowodzenia. Pisząc »Oblubienicę« nie myślał jeszcze o »Budowniczym«, rozpocząwszy »Budowniczego«, zapomniał nieco Hildy. Przy bliższem więc zestawieniu związek obydwóch dziewczyn okazuje się luźnym, bo jedna jest tylko trzpiotem, druga zaś osobą obłąkaną, szaloną.

Nieco mniejszy stopień zboczenia objawia się u Solnessa, można go częściowo zrozumieć. Postać to tytaniczna, złamana życiem, jeszcze uleczalna. Jego żona chora również, nie z urodzenia, lecz wskutek zrządzeń losu. Melancholia jej graniczy niekiedy ze zdziecinnieniem, w rozmowie z Hildą uskarża się mniej na śmierć dzieci, niż na to, że w pożarze spłonęło dziewięć jej prześlicznych lalek...

Jak w innych dramatach Ibsena, tak i tu początek stoi niemal luźnie. Ibsen nim odbije na głębie, trzyma się zawsze jakiś czas brzegu. Postacie swe tytaniczne najpierw kładzie na grunt płaski, codzienny, później unosi je na skały. W pięciu scenach początkowych zajmuje nas sprawa Ragnera, młodego rysownika, który chce pracować na własną rękę. W ciągłym strachu przed młodzieżą, Solness nie chce mu na to pozwolić. I nie zważając nawet, że wyrażanie się jego półsłówkowe o młodym człowieku zabija jego ojca, bo ten traci wiarę w syna, usidla jeszcze serce jego narzeczonej Kaji, chcąc przez nią utrzymać go przy sobie. Również te postacie, zwłaszcza Kaja i ojciec Ragnera: Knut są osobistościami niezwykłemi i jeśli nie rozstrojonemi, to mocno zapalnemi, podobnemi do łuczywa smolnego, któremu dość najsłabszego ognia, aby wybuchnąć płomieniem.

Jedyna tylko postać jest jaśniejszą i zdrową dr. Herdal, lecz rola jego drugorzędna nie wystarcza, aby zmienić koloryt utworu.

W naszych czasach wiele mówi się o wpływie rasy na pisarzy. Trudno go pochwycić. bezwątpienia działa pisarz głównie pod wpływem otoczenia i własnych życiowych doświadczeń. Ale w wieku starszym, kiedy umysł poczyna wracać do dziecięcości, kiedy, jak wykazuje to psychologia, elementy nabyte w czasie męskim i młodzieńczym poczynają rozkładać się, można wpływ ten snadniej pochwycić. Tak zdaje mi się, jest z Henrykiem Ibsenem.

Istnieją w literaturze skandynawskiej stare zbiory, zwane Eddami, szereg starodawnych pieśni Sag. Wzbija się w nich kłębami dym ze świeżo rozlanej krwi, wyją wilki. Bohaterzy szaleją, jak dzikie zwierzęta. Atmosfera nasycona mgłą, a słonko przysłonięte siatką.

Literatura skandynawska nie wróciła do tych Sag, kierunek ich nie ożył. Bo nie mógł już ożyć. Stan cywilizacyi zmienił się, ponieważ jednak wypływał z temperamentu rasy skandynawskiej objawił się w innej formie: obudził się u znakomitego jej przedstawiciela prawdopodobnie bezwiednie, bez ściślejszego, choć podnoszonego związku z symbolistami francuskimi. Znalazł ujście w typach na pół zbrodniczych, a na pół obłąkanych: obcego człowieka w »Oblubienicy morza« Heddy Gabler, Hildy Wangel. I znajdzie je jeszcze bezwątpienia w postaciach nowych.

W. Bugiel.

IRMA TROLL-BOROSTYÁNI.

Prawo kobiety.

II.

Słuszność tego żądania dla umysłu nieuprzedzonego jest tak jasną, że tylko dziwić się należy, iż uznanie tej prawdy toruje sobie drogę z taką trudnością i że przeciwko dążeniu kobiet, zmierzającemu do osiągnięcia wspomnianego celu, tyle wielorakich, a cudacznych rozbrzmiewa poglądów. A jeszcze dziwniejszą i o rzadkości samodzielnego myślenia ludzi smutnie świadczącą okolicznością jest to, że wszystkie te, z płytkim dowcipem lub pustym patosem deklamowane argumenty, których nieważkość widoczną jest przecież na pierwszy rzut oka, znajdują jednak całą moc ludzi, dających się przekonywać o ich świętości.

Trzebaby zapisać tomy, by podciągnąć pod skalpel krytyczny wszystkie zarzuty przeciwko emancypacyi kobiet podnoszone. Dla największej ich ilości jedyną odpowiedzią jest — uśmiech. Takich objawów mądrości Salomonowej, jak n. p. — wcale nie żartem, lecz zupełnie poważnie — wypowiedzianą radę, iż jedynem rozsądnem, a z naturą zgodnem rozwiązaniem kwestyi kobiecej jest, aby kobiety wynalazły środki i odkryły drogi, za pomocą których z m u s i ł y b y mężczyzn do dbania o wystarczające utrzymanie dla wszystkich kobiet, tak zamężnych, jak i niezamężnych, poważnie przyjmować niepodobna, zupełnie tak samo, jak niepodobna przywiązywać wagi do dziecinnego pomysłu jednego ze znanych filozofów *), który radzi, aby gordyjski węzeł kwestyi kobiecej przeciąć mieczem prawa, ogół do małżeństwa zmuszającego. »Zarozumiałą sprawiedliwością« zwie Hartmann w tymże artykule żądania emancypantek, nie zważywszy jednak, że dwa te wyrazy są obrazem pojęć, wzajemnie się wyłączających. Bo nie uznanie prawa do sprawiedliwości, lecz pyszne wmó-

---

*) E. von Hartmann: „Zur Jungfern- und Frauenfrage". Gegenwart Nr. 50, 1891.

wienie w siebie prawa do przywilejów, jest zarozumiałością.

Przeciwnicy praw kobiecych dumni są, zwłaszcza z odkrycia swego, na mocy którego twierdzą, jakoby ustawowe równouprawnienie kobiet z mężczyznami »sprzeciwiało się naturze kobiety«. To zaś psycho-fizyologiczne odkrycie podoba się wrogom emancypacyi tak dalece, że niezmordowanie powtarzają je *ad infinitum*, jeden drugiego cytując, tak, jak gdyby niedorzeczność mogła się przeistoczyć w sąd rozumny, wskutek tego, że się ją bezprzestannie w kółko recytuje.

Gdyby prawdą było, że nieubłagane prawo natury zakłada *veto* przeciwko emancypacyi kobiet, wyżej wypowiedziany werdykt byłby oczywiście słusznym. Warto przeto zbadać słuch tych jednostek, które twierdzą, że głos przyrody, potępiającej równouprawnienie swoich tworów, podsłyszeli.

Ponieważ kobiety dla naturalnych właśnie darów swoich chcą zupełnego, nieograniczonego prawa rozwoju, ponieważ chcą uwzględnienia naturalnych swoich praw ludzkich, przeto, mimo najlepszych chęci, trudno uznać nienaturalność tego żądania.

Pytanie więc: Jakie są naturalne właściwości kobiety, z których wywieść można podporządkowanie jej pod przewagę mężczyzny i jej od niego zależność jako »raz na zawsze przez naturę oznaczone stanowisko«? — A oto co? Daremnie przerzuca się całą literaturę, emancypacyjny ruch kobiecy potępiającą: na pytanie to odpowiedzi niema. Wszyscy powołują się na naturę, nikt jednak tego powoływania się nie uzasadnia. Prawda, że przez jakiś czas sławne twierdzenie o mniejszej wadze mózgu kobiecego, służyło za argument. Przedewszystkiem profesor Bischoff, opierając się na mniejszej, w stosunku do wagi mózgu męzkiego, wadze mózgu kobiecego, za fakt duchową niższość kobiety uznał. I wszyscy przeciwnicy emancypacyi z tryumfem uczepili się tego dowodu. Daremne były wszystkie uwagi, wskazujące, iż o zdolnościach duchowych stanowi nie absolutna waga mózgu, lecz, że jednocześnie rozpatrzeć należy wagę i wielkość całego ciała. Zarzutów tych obóz przeciwny nie uwzględniał. Wciąż a wciąż powoływano się na ogłoszony przez profesora Bischoffa, a w polemicznym jego artykule 1872 roku przeciwko dopuszczeniu kobiet do studyów medycznych wyłożony fakt, jakoby mózg mężczyzny ważył przeciętnie 1.350, zaś mózg kobiety 1.250 gramów. Bischoff i jego zwolennicy przytaczali ten dowód anatomiczny, jako niezbity dowód niższości duchowej kobiet. Nagle jednak ulubione powoływanie się na argument Bischoffa z widowni znikło. Walczyć nim nikt już nie śmie. Bowiem w r. 1882 zmarł profesor Bischoff — a mózg jego ważył tylko 1.245 gramów.

Ponieważ tedy przyznać musiano, że różnica wagi mózgu trochę słabym jest przeciw emancypacyi dowodem, obejrzano się za innymi argumentami fizyologicznymi, które do zwalczania ruchu emancypacyjnego posłużyć miały. Wzięto więc pod uwagę płuca, a następnie żołądek.

Pewien Dr. Adolf Hederer pisze w artykule, zatytułowanym: »Emancypacya kobiet w świetle nauki Darwina«:

»W jednej z najgłówniejszych funkcyj, kobieta zasadniczo różni się od mężczyzny, a mianowicie — w oddychaniu, lub ściślej mówiąc, w formie oddychania i środkach pomocniczych do funkcyi tej używanych. Kobieta oddycha przeważnie przez rozszerzanie klatki piersiowej w dwóch kierunkach, do osi ciała pionowych; falujące ze wzruszenia, lub po słodkim trudzie tańca, łono, wskazuje na ten, kobiecie właściwy, sposób oddychania. Mężczyźnie takie rozszerzanie klatki piersiowej nie wystarcza; pracuje on więcej, fizycznie i umysłowo, ostatniem źródłem wszystkiej jego pracy jest silny proces oksydacyjny, podtrzymywany przez żywność, która w krew przechodzi. By wytworzyć większą ilość kwasorodu, potrzebną do większej pracy, mężczyzna musi znacznie rozszerzać przy oddychaniu klatkę piersiową w kierunku na dół, co też czyni; oddycha więc przeważnie za pomocą błony poprzecznej, przestrzeni abdominalnej, abdominalnych muszkułów. Co zatem fizyologia odróżnia: oddychanie kobiece pektoralne od od oddychania męzkiego — abdominalnego. Im silniejszym jest mężczyzna, im twardsze i mocniejsze są jego żebra, im więcej umysłowo i fizycznie pracuje, tem mniej wystarczać mu będzie oddychanie piersiowe, tem więcej posługiwać się będzie musiał oddychaniem abdominalnem. A oto kobiety powoli do zajęć męzkich przyzwyczaić się pragną; muszkuły ich mogą się wzmocnić, nerwy — stężeć. Przyjmijmy nawet, że powiększy się masa ich mózgu i że krew ich wzbogaci się w komórki, kwasoród wytwarzające; przy powiększonej ilości pracy, lub przy ciągłem energicznem myśleniu muszą starać się o wytworzenie w ciele swojem procesu oksydacyjnego, t. j. muszą oddychać jak mężczyźni, a tak kobiety oddychać nie mogą, co zatem więc i pracować nie mogą bez szkody dla specyficznej formy ich budowy kostnej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZY WARTO?

(Ciąg dalszy).

21 września.

Piszę jeszcze, bo jeszcze nie jestem spokojny. Przerwałem wczoraj z jakimś niesmakiem, i prawie przed samym sobą wstydzę się wyznać, skąd pochodziło to dziwaczne uczucie. Nie zabiłem się wczoraj poprostu dlatego, że nie napisałem wszystkiego co chciałem. Znużenie mnie ogarnęło, ból ręki, głowy... Ściemniło się. Zrazu myślałem był, że tych ostatnich słów kilka będzie niewiele — tymczasem zapisałem nieprzerwanie, a gęsto trzy arkusze i... nie skończyłem. Zresztą ten niesmak... czułem (prawdziwie wstydzę się przyznać, ale winien jestem sobie nagą prawdę) — a raczej nie czułem wyraźnie, tylko przeczuwałem — jakbym się sam sobie sprzeciwiał, jakbym pisał nonsensa i brał rzeczy trochę powierzchownie. Zdam sobie sprawę dziś, ze świeżym umysłem. Po co ja właściwie piszę? Co robię? Przekonuję siebie, że trzeba się zabić. Czy też innych? Niby to wiem, że jedynym, dobrym czynem jest samobójstwo, a spokoju potrzebnego na jego wykonanie nie posiadam. Argumentuję sobie ciągle; i wydaje się, jakbym dopiero szukał za najtrafniejszym, decydującym argumentem. Jakoś mi to samobójstwo podejrzane: nie klei mi się. Co to jest? Co to jest?!

Chcę zgłębić, rozważyć. Więc widocznie ja sam nie jestem przekonany o nieodzownej potrzebie samobójstwa, gdy go do dziś potrafiłem odłożyć po całej wczorajszej tyradzie. Gdybym naprawdę z całą obojętnością stoicką mógł broń przyłożyć do czaszki, i najchętniej pociągnąć za cyngiel — to nieobchodziłaby mnie ani trochę całego świata opinia o moim czynie.

Widzę ze strachem i z oburzeniem, że musi mi na tym świecie, na wszystkich ludziach bardzo zależeć, jeśli przed samą śmiercią męczę się do znużenia, pisząc, że żyć i pracować dla nich nie warto. Wśród ciągłego zapewniania, że dla świata nic nie zrobię — robię. Dla kogo to spisuję? Przecież nie dla mnie! Po co, po co trupowi historya jego zwątpień? Nie; — więc dla ludzi, dla ludzi?! To jakaś zagadka.

Zresztą w mojem rozumowaniu, któremu tymczasem głębszych zarzutów uczynić nie mogę, popełniałem przy końcu błędy logiczne. Pisałem naprzykład: Światu żaden żal po mojej śmierci! a nie zastanowiłem się równocześnie, że gdyby w istocie tak było, toby mu także i życie moje musiało kompletnie być obojętnem. Iluż jest mnie podobnych! Więc i życie tych wszystkich musiało by być obojętnem dla świata — jeszcze bardziej życie tych, którzy mniej odemnie potrafią zdziałać, mniejsze mają zdolności. Życie całych tysięcy dla świata obojętnem być nie może, tak samo ich śmierć. Żyjąc jako myślący, choćby nieszczęśliwy człowiek, przydam się światu na coś, umierając, na nic, chyba jako garstka gliny, jak to Hamlet mówi o Juliuszu Cezarze.

Albo powiadam, że myśleniem dotarłem nareszcie do prawdy, a tego myślenia nauczyło mnie to niestosowne moje wychowanie. Że ta prawda mnie jest niewygodną, to przez to prawdą być nie przestaje; i śmiercią moją nie przekształcę jej, tylko — dam dowód, że moi wychowawcy mieli słuszność, iż mi jej nie opowiadali bez ogródek, przeczuwając, że jej nie zniosę.

I otóż odkrywam tajemnicę brzydką, że napisałem wczoraj sporo paradoksów, niedorzeczności... A zatem — powinienem żyć!

Co ja tu napisałem?? Więc te dwa słowa, ta jedna myśl, ta chwila, w której tę myśl powziąłem, miałaby obalić wszystko, co wczoraj przemyślałem, przebolałem? Wszystko, co nosiłem ze sobą i tłumiłem w sobie jako najwyższy wykwint mego rozumowania, jako konkluzyę ostateczną mego postępowania, jako skarb najdroższy mojej duszy? Więc byłżebym w błędzie? Nie, chyba teraz błądzę!

Co się ze mną dzieje? Czy ja tracę logikę w myślach? Wypowiadam moje najgłębsze przekonanie, popieram je najtrafniejszymi argumentami, one mi się same nasuwają pod pióro — i zaraz potem dedukuję wręcz przeciwne zdanie. Tenże sam mózg zrodził i pierwszy i drugi wniosek, tasama ręka napisała je obadwa, jeden po drugim za parę godzin, na tej samej kartce. Czy to być może? Coś mi wrzeszczy w ucho: »Nie tylko być może, ale musi, bo jest, jest, jest! Patrz na to: wlep tam swe oczy! Tyś żywy, a nerw twój oczny funkcyonuje prawidłowo. To fakt! Recytuj ciągle: »trzeba umrzeć, trzeba żyć!« na przemiany! Lecz nie rozpaczaj; fakta mają swe przyczyny, więc myśl, dociekaj: Czemu?«

Czemu, czemu?

Ręka mi nie zadrżała wśród pisania, aż dopiero przy słowach: »powinienem żyć!« Więc całe rozumowanie było wynikiem rozsądku — tylko to hasło do życia mnie razi. Przeczuwam więc, że jestem pod wpływem słów. Dlaczego nie pod wpływem myśli? Tak by przecież powinno być!

Jeżeli będę pragnął znowu dociec przyczyny tego zjawiska, to zagłębię się w rozumowanie, które, jak widzę, dwuznaczne daje wyniki. Wprowadzę w ruch te władze, o których wiarygodności właśnie wątpię! Żadna maszyna nie może sama sprawdzić, czy nie jest zepsuta — to robi maszynista. Tak samo mój mózg sam o sobie nic nie może powiedzieć; do tego trzeba by koniecznie kogoś, co by stał po za jego zakresem, a rozumiał jego budowę — a takiego niema! Więc ja tego »czemu?«, tej zagadki rozwiązać nie mogę. Nie mogę! Bo na wynik mego nowego zastanawiania się patrzyłbym znowu sceptycznie i budowałbym dylemat na dylemacie. Cóż po za tem wszystkiem? Zwątpienie, rozpacz!...

Może ja przecież o niczem innem nie myślę, jak o śmierci? Jestem dziś jakby pijany: nie mogę pisać, bo nie mogę myśleć dalej...

* * *

22 września.

Nie chcę zostać w tym stanie. Muszę mieć jasność, pewność. Dojdę-li do niej? Wszak myślenie, jak stwierdziłem, nie wyjaśnia, ale zaciemnia mi coraz bardziej wszelką kwestyę... A przecież myśleć muszę, wiedząc nawet, że mi to myślenie da rozpacz; wiem, że póki życia, myśleć muszę. Więc zabić się, aby nie myśleć? Ależ nie! Bo tak powinniśmy chyba wszyscy zrobić, skoro wszyscy jako ludzie myślimy — tem bardziej, im jesteśmy ludźmi. Wszyscy jednakże się *nie* zabijają; owszem myślą i żyją. Ród ludzki wygubić za myślenie, będące niezaprzeczoną, właściwą jego cechą, to nienaturalność, to — głupota. Więc: należy mi żyć i myśleć!

Albo źle wnioskowałem onegdaj, albo źle myślę dzisiaj! Sądzę, że raczej onegdaj; dzisiejsze moje sądy opierają się na dawniejszych, a onegdajsze były wynikiem chwilowych myśli.

Gdy mi obowiązek żyć nakazuje — czy zdam się na coś? Sam pisałem i czuję, że mógłbym działać, tylko ciągłem myśleniem zagradzam sobie drogę do skutecznej czynności. Trzeba więc działać na wpół machinalnie, z przeświadczeniem o marności tej pracy! Albo na najprostszej, najzwyklejszej czynności budować wnioski daleko idące! Dlaczegóż nie! Przypuśćmy, że odłożywszy na bok wszelkie uprzedzenia, stałbym się stróżem kamienicznym, i brałbym wszystkie czynności filozoficznie — czyżby to przeszkodziło dobremu stróżowaniu? Bynajmniej. Wymiatając schody i ganki wykonywałbym dajmy na to — systymatycznie obmyślane ćwiczenia gimnastyczne; z unoszącego się kurzu wnioskowałbym o jego lekkości, badał jej przyczyny, myślałbym o składzie chemicznym śmieci; pompując wodę dociekałbym prawideł hidromechanicznych. Mógłbym być mimo to wszystko wzorowym stróżem. Co więcej — mając dużo wolnego czasu może wymyśliłbym jaką machinę elektryczną do zamiatania śmieci i pompowania wody. Myślenie więc zda się zawsze. Lecz ja nie muszę być stróżem! Czuję się zdolnym do innych, innych zajęć...

Że jestem rozczarowany, i z dotychczasowem swem życiem w niezgodzie, z tego wcale nie wynika, żebym się miał zgładzić. Wszakże jedynie w mojej leży mocy, liczyć się nadal ze wszystkiem, do czego przez myślenie doszedłem. Wymknąwszy się stąd, dałbym dowód, iż postępuję podobnie jak moi nauczyciele w dzieciństwie — t. j. podporządkowuję swe posłannictwo chwilowej dogodności. Wszakże nie to, co myślałem i rozumiałem w dzieciństwie, było słusznem, tylko to, co teraz myślę, czuję. W istocie byłoby rzeczą nie do darowania, gdybym wedle tych dawnych, niesłusznych sądów i zapatrywań działać chciał. Tymczasem nie ma nic straconego: owszem, w dociekaniu istotnej wartości wszystkich spraw leży zadatek skutecznej, pomyślnej pracy. Samobójstwo moje byłoby i czynem małego horyzontu, i czynem samolubstwa.

Śmierć przyjdzie, o to niema obawy, przyjdzie sroga, zimna, tem lepiej gdy dla mnie upragniona. Przyjdzie, gdy będę rzeczywiście niezdatnym na nic, albo przypadkiem, za który nie odpowiadam. W każdym razie mogę umrzeć spokojnie, z przeświadczeniem, że życie moje zdało się na coś.

(Dokończenie nastąpi).

ZE STAREGO MIASTA.

MACIEJ FLISAK.

I.

Jest Maciej Flisak lokatorem
Wąskiej rudery staromiejskiej,
Na srebrną Wisłę, na Warszawę
Ma z okna widok czarodziejski.

Dachy, kamienie, świątyń szczyty
Pną się w niebiosa tak wspaniale,
A tam... za miastem... o brzeg bijąc,
Szumią Wisełki mętne fale.

Szumią Wisełki mętne fale,
Ponuro płaczą gdy zawieją,
Po nad muzykę najpiękniejszą
Milsze ich pieśni dla Macieja.

W każdy miesięczny wieczór jasny,
W każde słoneczne, ciche rano,
On załzawionem patrzy okiem
Na swoją rzekę ukochaną.

II.

Zwiedził pan Maciej kawał świata,
Kiedy orylem był z rzemiosła,
(Odtąd nazwa: »Flisak« do imienia
Na wieki wieków mu przyrosła).

Widział on miasta cudzoziemskie
Tak hałaśliwe i błyszczące,
Widział swej rzeki szumne wody
W otchłań Bałtyku wpadające.

Zebrał garść groszy na flisactwie,
Zjadł na flisactwie krzepkie zęby,
Spławiał na tratwach aż do Gdańska
Masztowe sosny, siwe dęby.

A gdy napęczniał trzos flisaka,
On, dziwnie tęskny, wracał żwawo:
Bo piękna Wisła koło Gdańska,
Ale piękniejsza pod Warszawą...

III.

W odwiecznej stancyi na facyacie,
Kędy zmurszałe stoją sprzęty,
Ledwie z fal Wisły wzejdzie zorza
Krząta się Maciej uśmiechnięty.

Na nos mosiężne okulary,
Piankową fajkę w gębę bierze,
Potem przy oknie, pomrukując,
Naprawia sieci i więcierze.

A gdy pod wieczór sierp księżyca
Przejrzy się w Wisły cichych wodach,
Gdy budzą echa lat minionych
Ochocze skrzypki po gospodach.

Pan Maciej Flisak głowę chyli
I przywołuje w ścian swych ciszy,
Te twarze, których nie obaczy,
Te głosy, których nie usłyszy...

IV.

Nigdy pan Maciej nie miał żony,
Rodzinne szczęście mu nie świeci,
Za to ojcowskiem sercem szczerem
Z Starego Miasta kocha dzieci.

W zimowe zmierzchy w okna stancyi
Szturmuje śniegiem zawierucha,
A w wielkim piecu ogień płonie,
A gawęd starca dziatwa słucha.

Pan Maciej Flisak wąsem rusza,
Przygasłe oczy skrzą mu dyablo,
Dźga długą wędą, jakby lancą,
Wywija garścią, jakby szablą.

Z buziaków szewczat zapał bije,
W ich sercach, w mózgach coś się budzi,
A Maciej kończy: »Ej, pędraki!
Wam nie zobaczyć takich ludzi«!...

V.

Gdy młoda wiosna zagra światu
Chorał nadziei i miłości,
Siaduje Flisak ponad brzegiem,
Grzejąc na słońcu stare kości.

Dziwne mu baśnie Wisła gwarzy,
Niby się śmieje, niby płacze,
A wtór jej dając, z tratw dalekich,
Żałośne pieśni mkną flisacze.

Hej! gdzie wiatr poniósł krzepkich flisów,
Co to, wśród burzy stali murem?
Kędy ten dawny Maciej młody,
W białej sukmanie, w czapie z piórem?

Hej! A gdzie pieśń ta, pieśń ogromna,
Co to, jak piorun z ust wypada?
Pan Maciej Flisak duma... duma...
Stary swój pacierz Wisła gada...

VI.

Prześnionych marzeń, sił straconych
Żadnym więcierzem nie ułowi...
Dziwy, jak prędko, jak wesoło
Przebiegła młodość Maciejowi.

Żywot nie krótki z woli nieba,
Oraz w przygody miał bogaty:
Zjawił się Flisak na świat Boży,
Coś przed niespełna stoma la...

Nieraz przypomni, gdy mu weny
Doda gorzałka lub araczek,
Jak to nad Wisłą piękny książę
Smalił cholewki do rybaczek.

Dzisiaj po księciu i rybaczkach
Już nie zostało ani śladu,
Pora i tobie do mogiły,
Pora i tobie, stary dziadu!...

VII.

Powiał wiatr mroźny, powiał zdala,
Wisłę w lodowe zakuł pęta,
Pan Maciej Flisak mrze, jak ona,
Całunem śniegu przysłonięta.

Pan Maciej Flisak gaśnie zwolna,
Wsłuchany w groźnych burz zatargi,
Na śpiącą rzekę z okna patrzy,
Ostatnim szeptem drżą mu wargi.

Hej, Wisło! Wisło! Stara Wisło
Zaczarowana w koniec z końca!
Hej, Wisło! Wisło! Stara Wisło!
Zbudzi cię pierwszy promień słońca!

Hej, Wisło! Wisło! Stara Wisło!
Czekaj na hejnał wiosny ptaka!...
. . . .
. . . .
Księżyc blask rzuca na twarz martwą,
Na pełną wiary twarz Flisaka.

Or-Ot.
Artur Oppman.

STULECIE KRYNICY.

W chwili, gdy numer obecny pisma naszego opuści prasę drukarską — święcić będzie Krynica stuletni jubileusz swego zasłużonego istnienia. Z powodu tej pamiętnej w dziejach znanego zdrojowiska rocznicy — ukazała się barwnie napisana broszura, pióra p. Władysława Bełzy, z której, za zezwoleniem Sz. Autora, czerpiemy ciekawe historyczne szczegóły.

Ktokolwiek przybywa do Krynicy, pierwsze kroki kieruje ku figurze Matki Boskiej na Michasiowej, patronki zdrojów krynickich, czuwającej nad niemi wśród leśnej ciszy. Z figurą tą wiąże się imię Artura Grottgera, gdyż według jego rysunku została wykutą w kamieniu, a lud okoliczny otoczył ją urokiem legendy, łączącej się z historyą odkrycia tych zdrojów.

Inaczej rzecz przedstawia się w świetle historyi.

Pierwszą wzmiankę o Krynicy, jako o zdroju leczniczem, spotykamy w dziele ks. Gabryela Rzączyńskiego T. J. wydanem w Gdańsku w roku 1745 p. t. »Auctuarium historiae naturalis curiosae Regni Poloniae«. Dopiero więc w połowie XVIII wieku wiadomość o krynickim zdroju dostała się do książek, choć już o wiele dawniej musiał on słynąć ze skutecznej swej mocy, skoro go autor zaleca jako godny uwagi środek leczniczy. Czasy jednak Augusta III, w których dzieło ks. Rzączyńskiego wyszło na widok publiczny, nie były po temu, aby w nich zastanawiano się nad dobrodziejstwami przyrody. Trwoniono inne dary Boże z całą nieopatrznością lekkomyślnego ducha, więc i wiadomość o Krynicy podana przez uczonego Jezuitę, poszła w zupełne zapomnienie i długi czas, bo prawie całe pół wieku upłynęło, zanim inny człowiek, tym razem już cudzoziemiec, ponownie na zdrój ten zwrócił uwagę.

Ale już wtedy ta część kraju w której obrębie leży Krynica, przestała od lat dwudziestu używać dumnego tytułu »Regnum Poloniae«... Przeszła pod obce berło, zmieniła nad sobą Pana, zmieniła nawet dawną swą historyczną nazwę, słowem, ze starożytnej Polski stała się — Galicyą.

W tym właśnie czasie, a mianowicie w roku 1793, komisarzem tutejszego obwodu sandeckiego cył niejaki Styx de Saubergen, człowiek światły i wykształcony, który poznawszy się na wartości zdroju krynickiego pod względem leczniczym, widząc go nadto w zupełnem zaniedbaniu i opuszczeniu, postanowił takowy nabyć i obrócić na użytek publiczny.

Właścicielami gruntu na którym ten zdrój wytryskał, byli włościanie; — a choć obszar ich dziedzictwa był niewielki, bo zawierał tylko 3 morgi i 120 sążni gruntu, siedziało na tym kawałku ziemi aż czternastu gospodarzy.

Jakkolwiek zdrój ten słynął od dawna w okolicy z uzdrawiających swoich skutków, choć już niejeden chory szukał tu ulgi w cierpieniach u tej »kwaśnej wody« jak lud powszechnie to zdrojowisko nazywał: — to wszakże mało komu znaną była jego rzeczywista wartość, mało kto zdawał sobie z tego sprawę, jaki majątek w tem źródle się zawiera, a co najmniej włościanie, do których ono należało, a z którymi p. Styx szczęśliwie dobił targu, nabywszy grunt wraz ze zdrojem za cenę 240 złotych polskich. (!)

Po nabyciu przez się źródła, kazał je *Styx* ogrodzić i ocembrować, wybudował w pobliżu drewniany domek o trzech pokojach, słowem — jak mógł i umiał starał się podnieść i upiększyć nabytą własność. Nie długo on tu jednak gospodarzył, gdyż w kilka lat potem został przeniesiony do Biały, a z tak daleka trudno mu było administrować zdrojowiskiem, więc szukał na nie kupca, z tą wszakże poczciwą myślą, aby nim był taki nabywca, któryby skarbów przyrody nie zmarnował, ale owszem, staranniejszą jeszcze opieką otoczył tę szczodrą w dary Boże krynicę.

Tym razem, nabywcą źródła był rząd austryacki.

Należy bowiem wiedzieć, że Krynica tudzież pobliskie miasteczka Muszyna i Tylicz, wraz z trzydziestoma okolicznemi wsiami należała pierwotnie do biskupów krakowskich i dopiero po pierwszym rozbiorze kraju w r. 1772, gdy cały ten okręg przeszedł pod panowanie austryackie, stała się częścią dóbr kameralnych, z których dochód, cesarz Józef II. przeznaczył na rzecz tak zwanego funduszu religijnego. Zawiadowcą tego funduszu był wówczas c. k. Zarząd dóbr państwa muszyńskiego, mający siedzibę swoją w Muszynie.

Długo jednak oszczędny rząd ociągał się z nabyciem tego źródła — niepewny czy dobry na tem kupnie zrobi interes, aż dopiero memoryał, wniesiony w tej sprawie przez ówczesnego dyspozytora w skarbie muszyńskim *Ignacego Jahla* zdołał przekonać wyższe władze o istotnej wartości zdrojowiska.

Jakoż na mocy kontraktu z d. 17 czerwca 1880 r. stał się rząd właścicielem Krynicy, odkupiwszy od *Styxa* jego posiadłość za cenę 150 fl. monetą konwencyjną.

Styx odstępując nabytek swój rządowi, oddał w jego posiadanie oprócz źródła i owego domku, o którym była już powyżej mowa, także drugi domek i stajnię, których budowy nie zdołał jednak dokończyć, przekazując to zadanie rządowi.

Zarząd dóbr państwowych, kierując się wszakże dziwnem jakiemś zaślepieniem, — posiadłszy to źródło, które mogło stać się dla niego iście »cudownym zdrojem« przynoszącym mu znaczny dochód — nie tylko, że lekceważył sobie leczniczą wartość zdrojowiska, że nie umiał z niego wyciągać korzyści, ale nic zgoła dla podniesienia swego nabytku nie chciał uczynić, owszem, w zupełnem je zostawił zaniedbaniu i szukał dzierżawcy, aby coprędzej zbyć kłopotu z głowy.

Jak panna w tańcu, tak też i Krynica zaczęła z rąk do rąk przechodzić. Dzierżawcy raz ją biorą, to znów rzucają, zmieniając się nieustannie i nic dla jej podniesienia nie czyniąc. Mimo to, mimo całej nieporadności jaka tu od pierwszej chwili panuje, mimo niedostatku wszelkich wygód, haniebnych dróg, braku opieki lekarskiej i tym podobnych niedogodności, sława wód krynickich coraz szerzej się rozchodzi po kraju i zwabia liczny zastęp kuracyuszów, którzy te wszystkie trudy i niewygody znoszą z całym stoicyzmem, byle tylko pokrzepić u tej ożywczej krynicy nadwątlone zdrowie i zaczerpnąć sił do dalszej wędrówki w życiu.

O niewygodach i drożyźnie, jakie tu w owych czasach panowały, nikt z odwiedzających obecnie Krynicę niema nawet w przybliżeniu pojęcia!

W braku odpowiedniego pomieszczenia w pobliżu samego zdroju, musieli przybywający lokować się w nędznych i kurnych chatach okolicznych chłopów, którzy stosując w praktyce znane przysłowie o łyku, które drzeć należy póki się da, kazali sobie płacić tygodniowo po *dwa dukaty w złocie* za »wyświadczoną grzeczność i gościnność«.

Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1807, w którym to czasie Krynica pozyskała własnego lekarza zdrojowego.

Był nim nijaki *Nennel* cudzoziemiec, nie posiadający wcale polskiego języka, obcy dla kraju, obojętny dla zdrojowiska, które obowiązany był przecie otoczyć opieką i powagą lekarską, krótko tu na szczęście przebywał, gdyż już w dwa lata później został przeniesiony na posadę fizyka okręgowego do Nowego Sącza.

Jakkolwiek *Dr. Nennel* żadnym dodatnim czynem nie zaznaczył pobytu swego w Krynicy, to jednak już sam ten fakt, że znajduje się tu miejscowy lekarz, miał dla zdrojowiska ważne i dodatnie znaczenie. Chorzy z większem niż przedtem zaufaniem przybywali do Krynicy: powaga zdrojowiska rosła; wiara w pomyślne skutki kuracyi pod nadzorem lekarskim coraz się bardziej utrwalała, tak, że już w najbliższych latach, a mianowicie w roku 1810 przeszło *pół tysiąca* osób przebywało w Krynicy.

Któż jednak dokonał tego szczęśliwego przeobrażenia? kto był tym, co odegrał rolę opatrznościowego człowieka wobec naszego zdrojowiska?

Był nim zasłużony profesor w Uniwersytecie Jagiellońskim *Dr. Schultes*, który wysłany tu z ramienia rządu na komisyę, celem zdania sprawy o stanie zakładu, zaproponował zbawienne zmiany, zmierzające ku polepszeniu bytu tego zdrojowiska, przez co położył trwały fundament pod dalszy, a tak dziś świetny rozwój Krynicy.

Po ustąpieniu Dr. Nennela z posady lekarza zdrojowego, rząd zakontraktował i tym razem obcokrajowca Dr. Harlanda, po nim Dr. Stirbę de Stierbitz, po jego śmierci Dr. Klungholtza i tak kolejno następowali po sobie Sporny, Bergrünny, Kohny, a samo brzmienie ich nazwisk dostatecznie wskazuje, do jakiej należeli narodowości i jak dalece obce im były tutejsze stosunki, społeczeństwo i interesa naszego kraju. Z nich wszystkich jeden tylko Dr. Stirba, jakkolwiek obcy pochodzeniem, lecz już urodzony na ziemi naszej, zapisał się zaszczytnie w kronice Zakładu, jako życzliwy jego opiekun, jako człowiek wielkich zalet towarzyskich i pełen zdolności lekarz.

A i nazwiska dzierżawców Krynicy nie miały polskich końcówek. Hechty, Bosewitze, Hoffmany, Pohlmany, Häusslery, Ottikery i Nemetze — oto szereg tych mężów, których dłoń kierowała losami tutejszego zdrojowiska!

Nic też dziwnego, że mimo wysiłków rządu, który starał się wprowadzać niejakie ulepszenia, a nawet znaczne, jak na owe czasy, łożył na nie koszta, Zakład, w macoszych zostający rękach, coraz to bardziej chylił się do upadku, aż doszło do tego, że po długich latach takiego wegetowania, wskutek nadzwyczaj małej frekwencyi gości, stałą posadę lekarza zniesiono, a sam Zakład. jako nie przynoszący rządowi spodziewanych korzyści, skazano na kompletną zagładę.

Odrodzenie swe zawdzięcza Krynica dopiero drowi Dietlowi.

Czytelniku! Jeśli wejdziesz do budynku, mieszczącego w sobie łazienki mineralne, spostrzeżesz zaraz na wstępie, umieszczony na emblematycznej konsoli biust marmurowy męża o poważnych rysach twarzy, z umieszczonym na podstawie napisem:

»*Wskrzesicielowi swojemu wdzięczna Krynica*«.

Było to w pamiętnym dla zdrojowiska roku 1856.

Rzeczona komisya nie tylko chwalebnie, ale co ważniejsza, skutecznie wywiązała się ze swego zadania. Szczegółowy plan przyszłej reorganizacyi Zakładu, opracowany przez Dietla i przedstawiony przez niego najwyższym władzom, doznał u nich przychylnego przyjęcia — a sam Dietl nie spuszczał już tej sprawy z oka, czuwając pilnie, aby to, co zostało w zasadzie przyjęte, z dziedziny projektów przeszło w wykonanie.

Usilnym też zabiegom tego czcigodnego męża, nieustannej opiece, jaką otaczał to zdrojowisko, zawdzięcza Krynica nie tylko wskrzeszenie, ale i ten dzisiejszy bujny rozwój, który każdego, co się obeznał z jej przeszłością, wprowadzić musi w zdumienie.

Jedną ze zbawiennych zmian, wprowadzonych tu za inicyatywą Dietla, było przywrócenie posady stałego lekarza zakładowego. Na posadę tę dostał się w roku 1857 *Dr. Michał Zieleniewski*, który przez lat trzydzieści z godną uznania sumiennością i poświęceniem wszystkich chwil pracowitego żywota, oddawał się tutejszemu Zakładowi, zasłużywszy sobie na jak najwdzięczniejsze wspomnienie. Jeśli Dr. Dietl nosi chlubne miano »Wskrzesiciela Krynicy«, to Dr Zieleniewski ma tę bezsprzecznie zasługę, że licznemi pracami swojemi o Krynicy, jak niemniej liczniejszemi jeszcze artykułami, umieszczanemi w rozmaitych czasopismach, rozsławił krynickie zdroje w kraju.



DOM ZDROJOWY W KRYNICY

budował prof. JAN ZAWIEJSKI, twórca nowego teatru krakowskiego.

Popiersie to wyobraża *Dra Józefa Dietla*, jednego z najznakomitszych lekarzy polskich, który do wspaniałego wieńca, jaki zdobi jego szlachetne czoło, wplótł i ten liść obywatelskiej zasługi, że stał się prawdziwym wskrzesicielem krynickich zdrojów.

Kiedy już bowiem, wisiał nad Krynicą wyrok nieodwołalnej zagłady, Dr. Dietl z tą siłą, jaką daje prawdziwie męska odwaga, z tą wymowną prawdą, która posiada moc przekonania, z tą wielką nauką, co każe przed swą potęgą uchylić czoła choćby najsilniejszemu przeciwnikowi, z tą wreszcie gorącą miłością kraju, która cuda stwarza: stanął w obronie Krynicy, wyjednał dla niej ocalenie i czynem tym zasłużył sobie na chlubne miano jej wskrzesiciela.

Wskutek energicznych jego starań i zabiegów, ówczesny gubernator Galicyi hr. Clam-Martinic, wydelegował do rozpatrzenia się w sprawach Krynicy komisyę, złożoną z mężów, ożywionych jak najlepszemi intencyami dla kraju, a na czele tej komisyi postawił *Dra Dietla*.

Odtąd datuje się też nieustanny wzrost Krynicy. To, co dziś widzimy, jest dziełem ostatnich lat trzydziestu: te obszerne łązienki, te piękne wille, te wygodne hotele, ten wspaniały dom zdrojowy (patrz ilustracyę. *Red.*), jakiego pozazdrościć może Krynicy niejeden podobny Zakład leczniczy, zażywający europejskiej sławy, te gustowne kioski, rozległe parki, wygodne drogi, te liczne wreszcie prywatne i rządowe budynki mieszkalne, w których, jak sam miałem sposobność przekonać się naocznie, panuje obok komfortu wzorowa czystość i porządek; ten racyonalnie urządzony Zakład dyjetetyczny Dr. Skórczewskiego i drugi hydropatyczny, zostający pod sumiennym zarządem Dra Ebersa, ten wreszcie prześliczny kościół są dziełem tych lat ostatnich. Nic też dziwnego, że Krynica, która liczyła w latach swego upadku zaledwie po kilkadziesiąt odwiedzających ją osób, w ostatnich czasach o wiele przenosi cyfrę 4.000 gości, szukających u jej źródeł polepszenia zdrowia.

WYSTAWA POWSZECHNA w roku 1900.

Jedną z najwięcej znamiennych cech naszego stulecia jest ustawiczna walka zarówno po między oddzielnemi miastami, jak i całemi państwami o hegemonię oświaty, przemysłu i handlu. Wślad za wystawą londyńską wyrosła, jak z pod ziemi na zaklęcie Francyi, paryska potem wiedeńska, filadelfijska i znowu dwie paryskie. Teraz zaledwie Chicago zaprosiło świat w swoje podwoje, już Paryż na rok 1900 obiecuje cuda wędrowcom, którzy go nawiedzą.

Przyznać należy, iż Chicago śmiałością pomysłów i rozmiarami zaćmiło promienie sławy Francuzów roku 1889. Francuzi, nauczeni doświadczeniem roku 1889, umieją ocenić doniosłość materyalnych, oraz moralnych korzyści wystawy; biorą się więc energicznie do dzieła, które wobec geograficznego położenia Francyi i wytwornego smaku artystycznego jej mieszkańców, — ponownie wydrze palmę pierwszeństwa Ameryce. Gdy więc Yankesi z dumą oglądają teraz *World's Fair*, w Paryżu komisya wystawowa, zatwierdzona przez ministeryum przemysłu i handlu, rozpoczęła już przedwstępne obrady pod przewodnictwem p. Alfreda Picard'a. Posiedzenia te dotyczą głównie wyboru jednego z nadesłanych projektów przyszłej wystawy; jest

ch dotychczas już 32. Pamiętając, iż proponowaną wystawę paryską trzeba urządzić bez pomocy rządu lub kasy miejskiej, komisya wie, iż nielada zadanie ma do rozwiązania; każdy zresztą z nadesłanych projektów stanowi jedno, wielkie, wyczerpujące dzieło społeczno-ekonomiczno-architektoniczne. Trzeba prawdziwej i głębokiej wiedzy, by nie tylko wybrnąć szczęśliwie z tej powodzi szalonych — zdawałoby się przedsięwzięć, lecz i ocenić doniosłość niewykonalnych na pozór planów. Sąd trudny — zwłaszcza, że między projektodawcami panuje ogromna sprzeczność w wyborze przyszłego placu wystawowego: jedni budują niebotyczne prawie gmachy na równinach St. Ouen, St. Cloud, Courbevoie, drudzy obstają za okolicami lasku Bulońskiego, Pola Marsowego, a jeszcze inni rozrzucają przyszłą wystawę w kilku różnych miejscach Paryża.

Żadnego ze złożonych planów jeszcze nie przyjęto, dotychczas jednak wszyscy oddają pierwszeństwo pracy pp. Devic'a i Pellissiera, którzy, przenosząc pole wystawy do Courbevoie pod Paryżem, na przestrzeni 300 hektarów kwadrat., rozpościerają pyszne ogrody, budują najwspanialsze gmachy, stawiając prawdziwe pomniki inżynieryi, oraz architekturze współczesnej.

Najciekawszą przecież jest strona finansowa wystawy: nietylko bowiem, jak zaznaczyliśmy, nie otrzyma ona żadnej subwencyi, ale jeszcze musi pozostawić Paryżowi wszystkie wybitniejsze budowle, pałace i ogrody. Otóż w myśl podanego przez komisyę wystawową programu finansowego, pp. Devic i Pellissier obliczają koszta urządzenia wystawy łącznie z wywłaszczeniem gruntu na jeden miliard franków. Na pokrycie tej sumy, na cztery lata przed terminem otwarcia wystawy, będzie ogłoszona subskrybcya na 4 miliony dwudziestopięciofrankowych bonów, z 20 kuponami każdy. Jak w r. 1889, tak i w 1900 kupon da prawo bezpłatnego, jednorazowego wejścia na wystawę i jednocześnie możność przejazdu koleją elektryczną z każdego punktu Paryża do Courbevoie. Nadto właściciel 10 bonów (250 frank.) ma zapewnioną bezpłatną podróż z każdej miejscowości Francyi na wystawę i z powrotem.

Kupony nie zużytkowane będą po zamknięciu wystawy wymienione po cenie jednego franka—za sztukę. Do chwili umorzenia zaś będą miały wartość papieru publicznego, który wewnątrz wystawy wszystkich będzie obowiązywał. Nabywca więc bonu może, robiąc zakupy, płacić za wszystko odciętymi kuponami. Z drugiej strony bon daje prawo udziału w loteryi, na którą przeznaczono 10,000,000 franków; ta loterya, podczas całego trwania wystawy będzie się odbywała co tydzień.

Następnie — ponieważ komisya wystawowa zrzeka się wszelkich zysków — dochód cały będzie rozdzielony pomiędzy właścicieli bonów. Wobec tego obliczając spodziewane zyski, kupujący pożyczkę wystawową nie tylko, że będzie korzystał ze wskazanych przywilejów, lecz nawet odzyska wydane pieniądze ze znaczną zwyżką.

Oto główna osnowa przeprowadzenia finansowej strony przyszłej wystawy paryskiej, która ze względu na czynione również starania w celu ułatwienia podróży i pobytu obcokrajowcom, zapowiada się świetnie.

Co zaś do istoty samych planów — to dają one prawdziwy przedsmak wspaniałości, oraz wielkości poczętego przez Francyę dzieła. W każdym z nich spotkać możemy rzeczy, które nietylko profanów, lecz i ludzi nauki zdolne są zadziwić. Architektura imponuje już nie samą wielkością, lecz także przedziwną delikatnością, oraz czystością form. Żelazo, stal, cynk, nikiel, szkło i aluminium, — oto prawie wyłączne materyały, z jakich projektodawcy stawiają najpyszniejsze pałace, największe kopuły, najpotężniejsze arkady. Wszystko zaś tam nie tylko wielkie, oraz piękne, lecz nawet oryginalne. Naprzykład pp. Falconnet i Dalbin, umieszczając wystawę w różnych częściach Paryża, jak Tuileries, Trokadero, pola Elizejskie i t. d. — pokrywają część Sekwany pomostami, na których zakładają ogrody, stawiają najpyszniejsze gmachy, łącząc jednocześnie siecią kolei wszystkie części wystawy. P. E. Saint Lanne otacza wystawę linią nadpowietrznej kolei elektrycznej, proponując jednocześnie budowę ogromnego mostu — tarasowego na Sekwanie w kształcie litery X. PP. Deric i Pellissier na samym wstępie kreślą nam przepyszne »Wrota tronowe« przyszłej wystawy. Całość w stylu starożytnym przedstawia się poważnie. — U góry nad wrotami widzimy alegoryczną postać Francyi, ponad którą znów rozpościera się olbrzymi łuk promieni złocistych. Nocą figura będzie otoczona niezmierną ilością lamp elektrycznych, które będą rzucały świetlane promienie na 150 metrów dokoła. Pałac Francyi w kształcie ogromnego klosza ma wysokości 135 m., a średnicy 200, zbudowany z żelaza, kamienia i szkła, pomieści główną salę zebrań publicznych. Nawet Niagarą Amerykanie szczycić się nie będą mogli, gdyż ci sami pp Devic i Pellissier urządzają olbrzymie jezioro, około którego z jednej i drugiej strony gromadzą wszystko, co ma jakikolwiek związek z marynarką, rybołówstwem itp., a z drugiej umieszczą zaimprowizowany wodospad wysokości 35 metr., a szerokości 100. Pod ową francuską »Niagarą« pp. Pellissier i Devic budują do złudzenia prawdziwe groty stalaktytowe, sale koncertowe, teatry itd.

Nie podobna w tych tak szczupłych stosunkowo łamach nakreślić bodajby stokroć zmniejszonej sylwetki tego, co przyszła wystawa paryska pokazać zamierza.

To pewna, że wielu rzeczami zgoła nowemi świat zadziwi — ten świat, który dziś zadziwić tak trudno.

Jednem słowem, o ile wnosić można z ogólnego zakroju przedsięwzięcia. Europa za lat siedm ujrzy na wystawie paryskiej wszystko, co tylko człowiek naszej rzutkiej, energicznej epoki zdołał wykonać, stworzyć, a nawet o czem jedynie śmiał marzyć.

Czekać zresztą trzeba cierpliwie wyniku obrad komisyi wystawowej, dla której każdy z 32 nadesłanych projektów wydaje się dotąd za skromnym i za małym...

W. G.

W BALONIE.

PRZEZ

GUY DE MAUPASSANT'A.

(Dokończenie).

Przebiegliśmy dwa tysiące metrów, tkwimy więc na wysokości około tysiąca pięciuset metrów ponad chmurami i widzimy tylko potoki srebra bez granic, pod lazurem bez granic.

Od czasu do czasu, ukazują się przepaście różowe, przepaście bezdenne. Popychani przez lekki powiew, którego się nie czuje, płyniemy ku jednemu z tych rozdarć tajemniczych. Zdawałoby się, że lodowisko olbrzymie runęło w nieskończoność i zostawiło śród dwu gór bruzdę niezmierzoną.

Biorę lornetkę dla zbadania tych skarpów błękitnawych przepaści i widzę w głębi kawałek łąki, dwie drogi, dużą wieś. Wkrótce stajemy tuż nad tym widokiem. Owce pasą się na polu, krowy, bryczki się toczą! Jakże to daleko, jakie to małe, drobne! Ale chmura płynąca pod nami, zakrywa nagle to okienko otwarte w ścianie burzy.

Pan Mallet powtarza teraz ciągle: »Balast rzucaj balast!« Balon kurczy się wskutek ulatniania gazu, spada na dół jak ciężki kamień.

W około nas listki bibułki od papierosów, rzucane ciągle dla przekonania się, czy spadamy, czy idziemy w górę, unoszą się jak białe motyle. Jest to najlepszy sposób przekonania się o swem położeniu. Gdy balon idzie w górę, papierki zdają się spadać na ziemię; gdy się obniża, papierki unoszą się ku niebu.

— Balast, zrzucaj balast!

Wypróżniamy częściowo worki z piasku, który się rozprasza pod nami i spada, jak deszcz ozłocony przez słońce. *Horla* *) zniża się ciągle i znowu widzimy, zbliżający się do nas, balon widmo w swej aureoli.

Teraz przerzynamy morze chmur, a łódź, zdaje się, że nurza się w pianie fal, które rozpływają się w mgłę dokoła niej.

Znów otwór, przez który dostrzegamy ziemię, jakiś pałac, kościół stary, drogi i pola zielone.

Zrzucając ciągle balast, powstrzymywaliśmy spadanie balonu, ale schudł on, ścieniał, podobny jest do szmaty płótna żółtego i maleje w oczach ogarnięty chłodem mgły, stężającym gaz nagle. Znowu wpływamy w obłoki, topimy się w falach mgły.

Dochodzą nas odgłosy świata nieco wyraźniej, szczekanie psów, płacz dzieci, turkot wozów, trzask biczów.

Przed nami leży ziemia, olbrzymia mapa, na którą patrzymy przez chwilę, przelotnie. Jesteśmy na wysokości zaledwie sześciuset metrów i możemy rozróżnić najdrobniejsze szczegóły.

Kury, na jakimś dużym dziedzińcu, rozbiegają się przerażone, gdyż zapewne biorą nas za olbrzymiego jastrzębia, wypatrującego zdobycz.

Cóż to za dziwaczne zwierzę co tam... tam... biegnie przez pole? Czy to indyk biały, czy baran, czy gęś? Nie. To mały chłopak, ubrany w spodnie i koszulinę, dostrzegł on nas i, z głową do góry zadartą pędząc, upadł, co pozwoliło mi rozróżnić nakoniec kształty ludzkie.

Co chwila gramy na rogu. Ludzie na ziemi odpowiadają nam krzykami i biegną za nami przez pola, rzucając domy i pracę. Woźnice opuszczają wozy na drodze, a wśród pól zasianych zbożem, jeszcze zielonem, widać tłum pędzący na złamanie karku.

* * *

Balon opuszcza się ciągle. Pierwszy sznur kotwiczny ciągnie się po drzewach, drugi zahacza się o ziemię, gdy unosimy się nad linią kolei żelaznej, której druty telegraficzne powstrzymują nasz bieg.

— Trzeba sznur przeciąć — woła Jovis — bo telegraf to śmierć dla aeronautów.

Wyrzuca ostatni worek piasku i konający balon robi ostatni wysiłek, po raz ostatni uderza w skrzydła; przekracza nasyp w chwili

---

*) Nazwa balonu, nazwa przypominająca dziwaczną nowelę Maupassant'a, w której czuć oznaki zbliżającego się pomieszania umysłu pisarza.

gdy nadbiega pociąg, na którym maszynista wita nas przeraźliwem gwizdaniem.

Znów jesteśmy na wyżynie trzydziestu metrów. Jednem uderzeniem Jowis przecina linę kotwicy, która pada na pole zbożem zarosłe. Oswobodzona od tego ciężaru, Horla podnosi się nieco, my zaś ze wszystkich sił ciągniemy za linę klapy i nakoniec łódź osiada na ziemi, bez wstrząśnienia, wśród tłumu wieśniaków, którzy ją chwytają i przytrzymują.

Wyskakujemy na ziemię, niezadowoleni, że już skończyła się ta podróż krótka i tak wspaniała, ta fantastyczna żegluga śród przestrzeni, wśród czarów białych obłoków, o jakich żaden poeta marzyć nawet nie może.

LISTKI POLITYCZNO-SPOŁECZNE.

W kronice naszych „klęsk elementarnych“ mamy znowu do zanotowania „rok pohybny“. Na Powiślu i Podniestrzu straszna powódź: zewsząd hiobowe wieści o niebywałych spustoszeniach. Pod ich wrażeniem nie myśli się narazie o rozmiarach klęski, nie oblicza szkód zrządzonych, ale można już dzisiaj przyjąć za pewne, że rok 1893 stanie obok lat 1845, 1867 i 1884. Zresztą szluzy niebieskie jeszcze nie zamknięte i nie da się przewidzieć, co będzie...

Biedna Galicyo ze swemi powodziami, posuchami, gradami, myszami, zarazami, pożarami i — życzliwemi rządami! Tyś do tych plag tak przywykła, że i tę nową stratę przebolisz, jak przebolałaś wszystkie dotychczasowe i — zapomnisz, jak zapomniałaś o dawniejszych. Przyjętym trybem wdrożą sfery decydujące i niedecydujące „akcyę ratunkową“, Sejm uchwali „pożyczkę głodową“, p. Rutowski wygłosi we Wiedniu piękną mowę, a na wystawie krajowej będziesz oglądała model zabudowania górskiego potoku...

A może przecież nadeszła pora, by myśl wybiegła poza to dziś, poza tę powódź i doraźną „akcyę ratunkową“? Może przecież zrozumieją powołani, że trzeba raz stanowczo zabrać się do usuwania przyczyn klęsk i organizacyą obrony, zapobieganiem konserwować majątek narodu i jednostek?

Może wydobędzie się wreszcie na światło dzienne ów elaborat „komisyi dla regulacyi rzek“, z roku 1884, aby bodaj częściowo wykonać to, co tam, jako do wykonania konieczne, wskazano. Boć jeżeli cyfra kilkudziesięciu milionów przeraża, to z tego jeszcze nie wynika, aby nic nie wydatkować: jeżeli nie można przystąpić do regulacyi wszystkich rzek, to jeszcze nie idzie zatem, aby nie regulować poszczególnych, jak to się dzieje we wszystkich prowincyach monarchii.

Dopóki przewidywaniem i ubezpieczeniem nie zdołamy usunąć lub choćby zmniejszyć fatalność klęsk żywiołowych, dopóty nie ma mowy o podniesieniu ekonomicznem, o rozwoju społecznym i moralnym i t. d. To są inwestycye, które kraj nasz powinien czynić! Mówiliśmy o regulacyi rzek, bo ta kwestya wobec klęski tegorocznej przed innemi staje nam przed oczyma. Ale nie powinniśmy ani na chwilę zapominać, że regulacya rzek to dopiero część zadania, jeden punkt programu. Kraj nasz nawiedzany bywa przez różnorakie klęski elementarne — i jeżeli niema zbytku wody to jest brak. Wszakże posuchę z roku 1889, która nas kosztowała okrągło sto miljonów złotych, mamy jeszcze wszyscy w świeżej pamięci. Zatem we wszystkich kierunkach musimy rozpocząć akcyę — a niech ona będzie nie chwilową, ale trwałą, dodatnią i na dalszą metę.

* * *

W Zurychu obradował przez kilka dni kongres socyalnej demokracyi całego świata, który żywo zainteresował wszystkie sfery. Wszakże nie doniosłego znaczenia uchwały tego kongresu zajęły umysły, lecz całą niemal uwagę pochłonęła i głównie była przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej wielka borba, którą urządziła mniejszość delegatów z anarchistów i t. zw. niezawisłych złożona. Jedni i drudzy niezadowoleni są z dotychczasowej taktyki i stojąc na gruncie rewolucyjnym są skrajniejsi, radykalniejsi od t. zw. oficyalnych. Anarchistów możnaby tu pominąć, gdyż nie należą wcale do socyalistów, a raczej stanowią, jak się ktoś dowcipnie wyraził, szpital ludzkości. Tendencye ich są zresztą znane. Natomiast chcemy bodaj w kilku słowach określić stanowisko niezawisłych i ich stosunek do większości, albo lepiej: do ogółu socyalnej-demokracyi. Otóż niezawisłych znachodzimy zarówno w Niemczech jak w Austryi i Francyi, mniej lub więcej silnie zorganizowanych obok organizacyj oficyalnych. Ich nazwa tłómaczy ich powstanie. Ma się tu do czynienia z wypowiedzeniem posłuszeństwa ustanowionej władzy, z wyłamaniem się z pod kierownictwa. Trzebaby napisać historyę rozwoju socyalizmu w Europie, aby przedstawić dokładny obraz powstania odrębnej partyi. Najczęściej pobudki osobiste dawały powód do naruszenia dyscypliny. Z czasem secesjoniści zorganizowali się w opozycyę jednolitą przeciw ogólnej partyi wzgl. kierownictwu tej partyi i wystąpili z odrębnym programem, który tem się różni od programu socyalnej-demokracyi, że odrzuca walkę polityczno-parlamentarną jako środek nieprzydatny i do celu nieprowadzący, podczas gdy t. zw. oficyalni socyaliści z frakcyą parlamentarną w Niemczech i Francyi na czele, którzy z istniejącą budową państwową wcale nie myślą zrywać, zgoła przeciwnie na skuteczność tej walki się zapatrują. Ogół socyalnej demokracyi w Austryi, jakkolwiek nie mający ani frakcyi parlamentarnej ani wogóle praw politycznych stoi na stanowisku, zajmowanem przez oficyalnych w Niemczech i Francyi. — Secesjoniści odmawiają swoim przeciwnikom charakteru rewulucyjnego, nazywają ich oportunistami, a ich przywódców t. j. właściwych kierowników socyalizmu, możnaby powiedzieć następców Marxa, jakimi w Niemczech są Engels, Liebknecht, Bebel i t. d. a w Austryi Dr. Adler i in. piętnują jako zdrajców socyalizmu. Mieliśmy tu na uwadze Niemcy i Austryę. Inne są stosunki w Anglii i Francyi; o nich będziemy jeszcze mieli sposobność pomówić — kiedyindziej.

Ci tedy niezawiśli, którzy od kilku lat prowadzą wojnę w domu — wystąpili obecnie poraz pierwszy w sposób wielce drastyczny przeciwko towarzyszom w większości będącym, gdy zostali na równi z anarchistami od udziału w kongresie wykluczeni.

Wszyscy nieprzyjaciele socyalizmu radują się z powodu tej schyzmy, lecz dlaczego się radują, tego sami chyba nie wiedzą, równie jak nie wiedzą, jak się w ogóle wobec tej dokonanej ewolucyi zachować. To bowiem nie ulega wątpliwości, że ten rozłam nie wpłynie bynajmniej na uśmierzenie antagonizmu między kapitałem a pracą. Czy zaś z powodu niezgody w obozie socyalistycznym tu i ówdzie kandydat socyalistyczny przepadnie, to z pewnością na szali dziejów nie zaważy.

Naszem zdaniem można z tych zajść wyciągnąć tę tylko nauczkę, że społeczeństwo powinno uczynić zadość pewnym umiarkowanym postulatom socyalnej demokracyi, jak je sformułowano w uchwałach kongresu, dotyczącym 8-godzinnego dnia pracy, 36-godzinnego nieprzerwanego wypoczynku tygodniowego etc.

Wogóle obfituje obecna chwila w rozmaite wojny: Więc naprzód wojna dyplomatyczna między Francyą a Siamem, z której republika wyszła zwycięsko i obłowiła się jak rabuś. Dalej wojna cłowa między Niemcami a Rosyą, lekkomyślnie przez pierwsze wywołana, która jednak więcej na wesołą niż smutną zaczyna wyglądać, bo zanim jeszcze skutki poczuto, zapowiedziano już naprzód jej kres. Także Austrya ma swoją wojnę: wojnę narodowościową na Węgrzech, w której madiarzy popisują się brutalnością, i w Czechach, gdzie z najwyższych wyżyn zstąpiło się do tablic ulicznych. Francya ma wojnę wyborczą i wojnę z rozmaitemi lichemi indywiduami i t. d. Wszystkie te wojny posiewem cywilizacyjnym nie są i byłoby lepiej, gdyby ich nie było.

Dr. E. R.

KRONIKA.

LITERACKA.

*** Wybitnym wypadkiem literackim u nas, a więc w kraju, gdzie rzadko co odrywa spracowany w ciężkiej walce o byt umysł od codziennych trosk i tak częstych, niestety, klęsk żywiołowych — jest ukazanie się „Miatieży“ Aurelego Urbańskiego,



Aureli Urbański.

pięknego poematu, w którym (z okazyi 30-lecia styczniowego powstania) utalentowany autor „Dramatu jednej nocy“ i „Watażki“ zobrazował przepięknym wierszem dzieje naszej martyrologii narodowej, zaklął w żywe, a tak głęboko do duszy przemawiające, słowa historyę naszych prześladowań, bolów i wysiłków bezowocnych.

Dziś ograniczamy się na zaznaczeniu tego faktu — kiedyindziej poświęcimy „Miatieży“ osobne, wyczerpujące uwagi, jak na to utwór Urbańskiego zasługuje. *(Red.)*.

*** Ku czci Fr. Karpińskiego. Niedawno upłynęło 150 lat od chwili urodzenia »lirnika Bożego« — Fr. Karpińskiego w starym dworze Hołoskowa, wsi, położonej między Stanisławowem a Kołomyją. Otóż domek ten, mimo troskliwej opieki, runął i nie byłoby już pewnie śladów tego miejsca, w którem Fr. Karpiński ujrzał światło dzienne, gdyby nie cześć, jaką

okazał poecie p. B. D., b. właściciel Hołoskowa przez położenie na pamiątkowym gruncie płyty kamiennej. Dobre i to, że w dzisiejszych czasach znajdują się ludzie, dla których prócz cielca złotego są jeszcze rzeczy święte, którzy świadomi są tego, że miejsca, złączone z życiem narodowych szermierzy, nie powinny marnieć. Obecnie zawiązał się w Hołoskowie (parafia Ottynia) komitet, który zbiera składki na ufundowanie mszalnego domu Bożego, który zastąpić ma obecnie leżące płyty kamienne i przekazać potomności miejsce, w którem urodził się jeden z pierwców narodowych. Składki przyjmuje p. Fr. Piechowski em. rotmistrz w Czeremchowie, p. Ottynia.

*** Henryk Sienkiewicz wydrukował w *Czasie* ocenę cyklu powieściowego Zoli: »Rougon-Macquartów«. Autor »Bez dogmatu« namiętnie krytykuje naturalistyczny charakter cyklu, występując najostrzej przeciw »Doktorowi Paskal«.

*** Maryan Gawalewicz, znany powieściopisarz, usunął się od kierownictwa *Tyg. Ilustrowanego*, które obejmują pp. Józef Wolff i Wł. Korotyński.

*** Znakomity historyk literatury dr. Piotr Chmielowski bawi obecnie w Zakopanem, gdzie pracuje nad 3-ciem rozszerzonem wydaniem »Zarysu literatury polskiej z ostatnich lat 20«.

*** Budowa pomnika Mickiewicza w Krakowie postępuje obecnie raźniej. Wzniesiono już architektoniczne części monumentu, ustawienie zaś grup nastąpi po powrocie rzeźbiarza Rygiera z Rzymu, któremu się widocznie z robotą nie spieszy.

*** W *Przegl. Tyg.* znajdujemy artykuł p. Zen. Parwiego, poświęcony nowej dyrekcyi teatru krakowskiego (z portretem p. Pawlikowskiego).

*** Prof. H. Struve ogłasza w *Kur. Warsz.*, że bawiąc w Londynie, odnalazł w bibliotece »Britisch Muzeum« egzemplarz biblii, przełożonej na język litewski przez Samuela Bogusława Chylińskiego, a drukowanej r. 1660 w Londynie. Drugi egzemplarz biblii tej znajduje się w bibliotece Akademii duchownej rz. kat. w Petersburgu.

*** P. Leopold Méyet pomieścił w *Tygodniku Ilustrowanym* list Juliusza Słowackiego, z epoki dzieciństwa poety, pisany do stryja Erazma Słowackiego. List ten mniej więcej z r. 1819 lub 1820, miłą jest pamiątką z wieku dziecięcego twórcy »Beniowskiego«. Podobiznę tego listu *Tygodnik* pomieścił. Ciekawszym jest jeszcze list, skreślony w kilkanaście lat później, którego oryginał p. Méyet w swych zbiorach posiada. List ten pisany jest do głośnego w swoim czasie księgarza wrocławskiego, Wilhelma Bogumiła Korna, i poeta, przesyłając temuż jeden egzemplarz swych poezyj, prosi

„abyś je chciał przejrzeć i donieść mi, azali nie zgodzisz się W. P. Dobr. ażebym mu pewną liczbę egzemplarzy przesłał. Nie żądam za nie z góry żadnej opłaty, racz je tylko WP. Dobr. przyjąć i mieć w swoim składzie, a za wyprzedane w pewnych oznaczonych terminach podług układu przysyłać mi pieniądze. Jezeli prośba moja będzie przyjęta przez WPana Dobr. racz mi donieść, jaką liczbę egzemplarzy mam dostarczyć, jaką przesłać drogą i jaki na wyprzedanych zastrzegasz sobie procent?

Czy Korn przyjął poezye Słowackiego na skład, nie pisze p. Meyet, wszelako należy przypuszczać, że stosunki jakieś były, gdyż w opisie swej podróży do Ziemi Świętej poeta wspomina księgarza wrocławskiego:

„...i wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna.
O! moja głupia muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna... mówią, że luminiarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą..."

Dwa listy, podane przez p. Meyet'a, są interesującym przyczynkiem do biografii poety.

*** W papierach pośmiertnych po śp. Józefie Blizińskim znalazła wdowa gorliwie ich uporządkowaniem zajęta niegraną dotąd i nieznaną komedyę Blizińskiego p. t. »Panna z posagiem« napisaną przez autora »Pana Damazego« w r. 1867. Pani Blizińska przedłożyła nowy ten utwór pp. Zygmuntowi Sarneckiemu i Kazimierzowi Zalewskiemu do przejrzenia i rozstrzygnięcia czyli kwalifikuje się na scenę. Jestto jeden z pierwszych utworów Blizińskiego.

*** Pani Józefa Blizińska wdowa po nieodżałowanym komedjopisarzu, zamierzając przenieść się w przyszłym miesiącu do Królestwa Polskiego, pragnie sprzedać bibliotekę po ś. p. mężu swoim, złożoną z cennych dzieł naukowych, beletrystycznych i czasopism z wolnej ręki. Mający chęć kupna zechcą się zgłosić osobiście Kraków, ul. Karmelicka l. 23 I. piętro.

ARTYSTYCZNA.

*** Kaz. Pochwalski zaproszony został do Londynu, w celu wykonania tam portretu ks. Walii, następcy tronu angielskiego.

*** Obrazy Fr. Żmurki cieszą się dużem powodzeniem w Ameryce.

*** W Baden-Baden wystawiono dramat G. Hauptmana p. t. »Kolega Crampton«.

*** Mieczysław Zawiejski, znany rzeźbiarz, mieszkający stale we Florencyi, wykonał w Krakowie doskonały biust ks. kardynała Dunajewskiego.

*** P. Pawlikowski zamówił szkice do dekoracyj i kostyumów do »Kościuszki pod Racławicami« u p. Wojciecha Kossaka, który wraz z pp. Styką, Popielem, Wdowiszewskim i Tetmajerem, pracuje obecnie nad panoramą wystawową we Lwowie.

*** Z teatru hr. Skarbka.

(i. b.). Należy z uznaniem podnieść starania dyrekcyi teatru hr. Skarbka, która letnią kampanię, zazwyczaj, z natury sezonu, jałową — w tym roku do tego stopnia zdołała ożywić i na tak wysoki poziom artystyczny wznieść, iż mimowoli zapominało się o kanikule i towarzyszce jej nieodstępnej — wielkomiejskich nudach. Stało się to nie przez nowy repertuar, a więc przez dobór nowych sztuk, lecz dzięki gościnnym występom artystów, których talent, inteligencya i praca postawiły na świeczniku polskiej sztuki dramatycznej.

Po biesiadzie artystycznej, jaką zgotowała nam p. Marczello w »Arii i Mesalinie« i »Safonie«, a p. M. Frenkiel w »Zemście«, »Wielkim człowieku«, »Porwaniu Sabinek« — ujrzeliśmy kilka dni temu na deskach letniego teatru jubilata, artystę wielkiej miary, który już 30 rocznicę swego ze sceną wesela obchodził — ujrzeliśmy Bolesława Ładnowskiego.

P. Ładnowski ukazał się nam 15 b. m. w roli »Otella«. Szekspirowska kreacya w odtworzeniu p. Ł. nasunęła nam refleksye porównawcze: zestawialiśmy w umyśle jego »Otella« z »Otellem» pp. Żelazowskiego i Kotarbińskiego; z których pierwszy bardziej jest namiętnym, silnym, koturnowym, gdy drugi (podobnie, jak w innych Szekspirowskich tragedyach) wnosi na scenę więcej pierwiastku myślowego i uczuciowego, więcej refleksyi i sentymentu. P. Ładnowski, zdaniem mojem, łączy w sobie jedno i drugie, t. j. siłę — wybuchającą zwłaszcza w ostatnich odsłonach, gdzie głos artysty, niekiedy łamiący się i przyciszony nabiera odpowiedniej miary — i te przebłyski poddawania się refleksyi i uczuciu, w jakie wielki znawca psychologii ludzkiej, wyposażył zazdrosnego Otella. To samo moglibyśmy powiedzieć o »Hamlecie« w interpretacyi Ładnowskiego, u którego strona wykonawcza, t. j. sama gra jest znakomitą.

Postać Nowowiejskiego (z komedyi K. Zalewskiego p. t. »Przed ślubem«) należy niezaprzeczenie do najlepszych ról warszawskiego artysty.

Patrząc na p. Ładnowskiego, grającego w »Przed ślubem«, zdaje się, że aktor przeszedł autora.

Z powodu braku miejsca nie możemy dziś szerzej zastanowić się nad grą poszczególną otoczenia warszawskich artystów, zaznaczymy więc tylko harmonijny współudział pań: Stachowiczowej i Dzirytt — Dobrowolskiej oraz pp. Zboińskiego, Zawadzkiego, Trapszy i Woleńskiego.

*** Z Krakowa piszą nam:

(ln.) »Dyrektor nowego teatru p. Tadeusz Pawlikowski, którego nominacyę przyjęto wogóle sympatycznie, powrócił dziś z Warszawy, gdzie bawił w celu skompletowania swego personelu artystycznego.

Dowiaduję się, że p. Pawlikowski zaangażował p. Józefa Kotarbińskiego, który objąć ma berło reżyserskie, pannę Noiretównę, oraz kilka młodych, nieznanych dotąd sił, wykwalifikowanych w warszawskiej szkole dramatycznej. Grono artystów nowego teatru ma powiększyć także artystka teatru łódzkiego, panna Wyrwicz. Były artysta teatru krakowskiego, obecnie właściciel »Louvru«, p. Lubicz powraca na deski sceniczne i wejdzie wraz z żoną swą (p. Zaleską) w skład świeżo zorganizowanej trupy. Sekretarzem teatru zostać ma aktor i znany tłómacz sceniczny p. Danielewski. — Dnia 15 b. m. rozpoczął się szereg przedstawień dotychczasowego personelu p. Gliksona w starym budynku przy placu Szczepańskim: »Kościuszką pod Racławicami«. Przedstawienia kończy p. Glikson z dniem 31 bm., poczem pożegna bankietem swych współpracowników. Repertuar zapowiada na ostatni spektakl w starym gmachu, te same sztuki, z któremi przed 50 z okładem laty wystąpił teatr krakowski, t. j.: »Barbarę Zapolską« i »Nowy rok« Jasieńskiego.

Przez wrzesień odbywać się będą próby nowej trupy, otwarcie zaś nowego teatru nastąpi między 1—10 października br.

(Nowej dyrekcyi teatru krakowskiego poświęcimy szersze i głębsze uwagi po ostatecznem skompletowaniu przez nią personelu. *Przyp. Red.*).

Budowa teatru pod sprężystem kierownictwem prof. Zawiejskiego zbliża się ku końcowi.

Powszechny podziw budzi wspaniały żyrandol (według planów p. Zawiejskiego), misternie wykonany przez fabrykę tutejszą pp. Jakubowskiego i Jary. Konstrukcyi i roboty tego żyrandolu, na który składa się 120 lampek (do światła elektrycznego), mogłaby pp. Jakubowskiemu i Jarze pozazdrościć niejedna firma zagraniczna. Roboty skupiają się obecnie około wewnętrznej strony gmachu. Parkiet otrzyma krzesła utrechtowe, loże zaś obicia z czerwonego adamaszku. Cały gmach przedstawia się tak zzewnątrz jak i wewnątrz okazale i przynosi zaszczyt swemu twórcy p. prof. Zawiejskiemu.«

*** W Warszawie zmarł Eligiusz Maleszewski (Eli), heliominiaturzysta.

*** We Lwowie zmarł członek Izby panów br. Zygmunt Romaszkan.

*** Z inicyatywy wiceprezydenta miasta dr. Marchwickiego zorganizował się we Lwowie komitet ratunkowy, celem niesienia pomocy ciężko dotkniętym żywiołową klęską powiatom kraju. Cesarz ofiarował dla powodzian pięć tysięcy złotych, tyleż gmina miasta Lwowa.

Administracya „Myśli" pośredniczy w zbieraniu na ten cel składek. „Bis dat, qui cito dat!"

OD ADMINISTRACYI.

Chcąc ułatwić naszym Czytelnikom poznanie pięknego utworu Aur. Urbańskiego — z chęcią podjęliśmy się pośrednictwa w sprzedaży »Miatieży«, którą nasi Prenumeratorowie odbierać mogą za cenę 1 zł. 20 ct. z przesyłką rekomendowaną.

Warunki prenumeraty: *we Lwowie:* rocznie **7** zł. **20** ct. kwartalnie **1** zł. **80** ct, miesięcznie **60** ct. Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie **5** ct. Numer pojedynczy kosztuje **30** ct. — *Na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej:* rocznie **8** zł., kwartalnie **2** zł. — *W Niemczech:* rocznie **16** m., półrocznie **8** m., kwartalnie **4** m. — *We Francyi:* rocznie **20** fr, kwartalnie **5** fr.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **JÓZEF BORNSZTEIN.** Z DRUKARNI E. WINIARZA WE LWOWIE.